DZIAŁ BELETRYSTYCZNY

Nr. 1

KWIECIEŃ — MAJ 1935.

WSTĘP OD REDAKCJI.

Otwieramy niniejszem dział beletrystyczny, w którym zamieszczane będzie okolicznościowo wszystko to, co bezpośrednio nie jest wyrazem akcji publicznej lub wiedzy naukowej.

Ale zgodnie z wypowiedzianą niegdyś tezą Naszej Przyszłości, że w obecnej epoce rozbudowy i wzmacniania Polski wskrzeszonej wszystko winno, przynajmniej w pewnym stopniu, przynajmniej pośrednio, służyć sprawie publicznej, dlatego też nawet w tym naszym dziale zamieszczać będziemy tylko takie utwory, z których jakiś sens moralny dla spraw państwowych wynika. Sztuką samą w sobie i abstrakcyjnem pięknem zajmować się nie będziemy.

Z nadesłanych nam utworów beletrystycznych zamieszczamy na początek powieść znanej w swym okręgu działaczki ziemiańskiej, pani Amelji Łączyńskiej. Być może, że różni fachowi znawcy reguł techniki literackiej, a z drugiej strony różne nowoczesne pięknoduchy — jak to nazwaliśmy ich kiedyś przy innej okazji — skrytykują do cna powieść p. Łączyńskiej, jako nie odpowiadającą dzisiejszym górnolotnym wymaganiom i przerafinowanemu smakowi artystycznemu, zwłaszcza w najnowszej, najsubtelniejszej jego formie, która kategorycznie odrzuca wszelkie więzy rymu, rytmu i sensu, a pławi się tylko w językowych dziwadłach i w niezrozumiałych dla realnie myślącego człowieka dreszczach, sensacjach, metafizyce i rebusach. Ale my, nie robiąc sobie nic z najnowszych prawideł — a raczej nieprawideł — modernistycznej sztuki pisania, choćby nagradzane były laurami wszelakich akademji z całego świata i przyprawiały o omdlewanie z rozkoszy wszystkich pięknoduchów i pięknoduszki, zamieszczamy powieść p. Łączyńskiej — po dokładniejszem wniknięciu w treść

utworu, niż to czyni niejedno jury konkursowe — właśnie dlatego, że pisana jest prostym, zdrowym polskim stylem, bez śladu kuszenia się o modernizm i cudactwa, a nadto oddaje wiernie życie pewnej sfery społeczeństwa tak, jakiem ono jest w rzeczywistości, oddaje wiernie — choć oczywiście w pewnym obrazie syntetycznym — ruchy, gesty, rozmowy, mentalność i tendencje tej sfery, których życiową prawdziwość stwierdzić i potwierdzić może Redakcja Naszej Przyszłości w całej pełni z własnego, praktycznego doświadczenia.

To nam się podoba — ale jest w powieści p. Łączyńskiej coś więcej jeszcze. Jest odmalowana z wiernym realizmem groza, jaka ciąży nad najbardziej historyczną i bardzo liczną warstwą społeczeństwa polskiego, zarówno z powodu nacisku warunków zewnętrznych, jak i z powodu obecnego upadku wewnętrznej tężyzny tej sfery. A to już nie sprawa abstrakcyjnie beletrystyczna, nie sprawa czystej sztuki, ale wielka bolączka i tragedja, rozgrywająca się w łonie naszego społeczeństwa, która z natury rzeczy wielki musi wpływ wywierać na dalsze kształtowanie się losów naszego narodu i państwa. I dlatego poddajemy tę powieść pod szczególną uwagę naszych czytelników.

Wiadomo, czem dla Polski jest polski „dwór". A ci, którym to niewiadomo, albo którzy w partyjno - demagogicznej tępocie wiedzieć o tem nie chcą, przekonają się, czem były „dworskie" ośrodki tradycji i kultury dla sprawy narodowej i ludowej — podkreślamy: i ludowej — gdy dworów tych zabraknie, a na ich miejscu rozpanoszą się doktrynerskie eksperymenty. Nasza Przyszłość, jak dobrze wiadomo, nie jest bynajmniej rzecznikiem konserwatywno-ziemiańskich interesów. Czysty, bezwzględny objektywizm państwowy i historyczny, stanowi podwalinę naszego światopoglądu. Żadnego nieudolnie prowadzonego folwarku, żadnego nieudolnie i rozrzutnie administrowanego latyfundjum, żadnej, choćby najpiękniejszej, ale zbędnej i nieaktu-

alnej w obecnej dobie fabryki, ani żadnej innej placówki bezużytecznego, rakowatego kapitalizmu nie bronimy i bronić nie będziemy. Ale właśnie bezwzględny objektywizm państwowy nakazuje nam zwrócić kategorycznie powszechną uwagę na bezgraniczną lekkomyślność historyczną, z jaką naród polski i państwo polskie likwidują różnymi sposobami ten niezmiernie dodatni aktyw w naszym bilansie historycznym, kulturalnym i gospodarczym, jaki stanowi pozycja „dwór polski“.

Prawda, że i w nim często źle się dzieje, jak zresztą dzisiaj u nas wszędzie. Prawda, że drażni on zbyt często nowoczesne społeczeństwo polskie — społeczeństwo XX-go wieku — swym snobizmem i jakgdyby traktowaniem z góry reszty narodu, nawet jego elity intelektualnej, a to na fałszywie pojmowanej i dziś już praktycznie bezwartościowej przesłance znaków herbowych i heldentatów przodków, którymi — serjo mówiąc — nie mają żadnego prawa nobilitować się prawnuki, jeżeli sami żadnych heldentatów, ani innych zasług dla kraju, dla sprawy publicznej, osobiście nie położą. Stanowczo bowiem przeczymy fikcji, jakoby samo „chodzenie za pługiem“ lub wyprodukowanie worka kartofli, czy wiadra spirytusu były czynami zasługi krajowej. Wszak to tylko pozioma praca zarobkowa i nic więcej. Bez niej „dwór“ nie miałby co jeść. A nie może być uważane za specjalną zasługę narodową karmienie własnego żołądka lub spieniężanie pokarmu dla innych żołądków. To wyłącznie praca zarobkowa, czyli interes prywatny. Aby zasłużyć się narodowi i państwu, trzeba dać ze siebie coś takiego, czego samemu się nie je i za co nie pobiera się pieniędzy.

Prawda i to, że drażnić może realistyczne uczucia ogółu, uświadomionego kulturą XX-go wieku, ta jakaś, niczem już dzisiaj nieusprawiedliwiona wyższość i ekskluzywność rasowa, jakie wchodzą wciąż jeszcze w skład mentalności ziemiańskiej z tytułu odziedziczenia i gospodarowania kawałkiem ziemi. Bo wszak to dzisiejsze gospo-

darstwo rolne niczem, ale to absolutnie niczem nie różni się w zasadzie od każdego innego gospodarczego warsztatu — od fabryki, sklepu, rzemiosła lub banku. Weksle, kredyty, długi i wszlakie inne operacje „geszefciarskie“ lub fachowo - techniczne są dzisiaj taką samą podstawą gospodarki rolnej, jak i innej. Przecież dzisiaj ziemianin nie macha karabelą, ale raczej piórem po blankietach wekslowych. Więc skąd to przedpotopowe pojęcie o jakiejś „społecznej wyższości“ lemiesza nad młotem fabrycznym lub nad stołem kupieckim czy bankowym?

Śmieszne pojęcia, które wiek XX-ty powinien rzeczywiście ze szczętem wyplenić.

Ale — mimo to wszystko, ziemiański dwór polski jest w naszych specyficznych, polskich warunkach niezmiernie ważnym ośrodkiem kultury, patrjotyzmu i postępowej gospodarki w morzu bardzo jeszcze niskiej pod każdym względem masy włościańskiej. Jest zarazem także i pewną ostoją wśród niej państwowego i społecznego ładu i porządku. Jest świadomą lub podświadomą, ale w każdym razie rzeczywistą podporą autorytetu władzy państwowej. Każdy rząd, chcąc mieć masy chłopskie za sobą, musi jednać je sobie czemś materjalnem, dla zjednania zaś dworu wystarczą moralne podniety. Chłop, obciążony podatkami, budzi w sobie instynkta rewolucyjne i w poczuciu swej materjalnej „krzywdy“ niechętnie odniesie się nawet do apelu obrony krajowej, jak mieliśmy tego wymowny przykład za witosowych czasów, kiedy to ten premjer polski zawarunkował swój apel do chłopów chwycenia za broń spełnieniem ordynarnego postulatu reformy rolnej, czyli — krótko mówiąc — zagarnięcia gwałtem cudzego mienia. A ziemianin pójdzie na wroga nawet bez apelu, nawet, gdy własny dach nad nim płonie, i nawet gdy wie, że po zwycięskiej wojnie czeka go w nagrodę — przymusowa reforma rolna!

O tem nie wolno zapominać w Polsce nikomu, kto ma choćby prymitywne kwalifikacje na męża stanu. Niszczenie

dworu polskiego byłoby niezrozumiałym czynem, nawskroś antypaństwowym. Powiedzmy więcej: gdyby dwór polski przestał istnieć, to trzebaby w naszych warunkach starać się go, choćby sztucznie, tu i tam odbudować.

Paradoks — powie ktoś — ale w tym paradoksie leży właśnie ważny odcinek polskiej racji stanu.

Lecz z drugiej strony ten dwór polski, w głębszem zrozumieniu swej roli, musi sam z siebie przereformować się i mentalnie przebudować od fundamentów do dachu. Nie może być jakiemś muzeum starożytności, które kustosz - ziemianin stara się nadaremnie podtrzymywać wyżebranemi subwencjami lub z rozpaczy zaciąganymi długami za wszelką cenę. Do muzeów niech idą zczerniałe portrety, pergaminy i znaki runiczne, a dwór polski chcemy mieć czynnikiem realnego, ożywiającego postępu i **ośrodkiem dalekosiężnej myśli państwowej.** Na „szlagonów", kulturalnie zacofanych i prawiących w kółko o urodzaju lub nieurodzaju, wykazujących kompletny brak zrozumienia dla sprawy publicznej, wybiła godzina zagłady, bo stali się — na mocy nieubłaganego prawa selekcji naturalnej — niepotrzebnym dla państwa przeżytkiem. Ginąć muszą, jak zginęły przedhistoryczne dinozaury, poprostu z powodu zaniku warunków ich bytu. Zginą również bezużyteczne snoby, którym się zdaje, że można żyć i kwitnąć wiecznie w społeczeństwie li tylko kapitałem przeszłości, bez żadnej ich zasługi przez przodków nagromadzonym. Dzisiaj następuje gwałtowna dewaluacja tego kapitału, moralnego i materjalnego i każda tarcza zblaknie, jeżeli jej posiadacz własną, osobistą pracą i zasługą — ale prawdziwą pracą i prawdziwą zasługą — nie postara się jej odświeżyć. Ostoi się i wyjedzie cało z burzy tylko to, co jest wewnętrznie mocne i **społeczeństwu naprawdę potrzebne.**

A oto twierdzą wybitni — nawet konserwatywni — historycy, że ziemiaństwo polskie podobno rolę swą historyczną już przegrało. Przytaczają na to liczne naukowe

dowody, przytaczają skrajny oportunizm, miękkość i nieumiejętność odgrywania roli państwowej w życiu nowoczesnem. Przytaczają, między innymi, znany fakt, że przymusową reformę rolną, wraz ze wszystkiemi, wypływającemi z niej konsekwencjami, wymyślili sami na siebie ziemianie. Uczynił to bowiem nie ludowiec, nie radykał, nie socjalista, ale ziemianin Świerzyński, pierwszy premjer rządu wskrzeszonej Polski. Ustępując po fatalnej trzynastce dni swego panowania i mając w swym gabinecie innego jeszcze, wybitnego ziemianina na czele ważnego resortu, pozostawił na swem biurku testament swój ziemiański dla ludowców i socjalistów ze wskazówką, jak należy zniszczyć ziemian i podeptać prawo własności.

Tego tragicznego problemu nie porusza oczywiście w całokształcie autorka powieści „Dachy płoną“. Ale przedstawia nam żywo i wiernie fragment z życia ziemiańskiego, który groźny jest, jako pewna synteza wewnętrznych przyczyn upadku dworu polskiego. A wszystko, co ta powieść zawiera, jest dosłownie z życia wzięte. Zmieniono tylko nazwiska, ale każdy ziemianin mógłby w swym okręgu odpowiednie nazwiska swych dalszych lub bliższych sąsiadów wstawić do tej powieści.

Niejednemu wydadzą się niektóre sytuacje i rozmowy nieco sztywne lub zbyt fragmentaryczne, jak na dobrze skonstruowany utwór powieściowy. Ale i w tem leży wierność naszkicowanego obrazu, bo w ziemiańskich salonach, jak i w innych, sytuacje i rozmowy często bywają sztywne, fragmentaryczne, niemal zdawkowe. Nie wypada w „lepszem“ towarzystwie rozgadywać się szeroko nad jakąś kwestją, ale tylko sztywno i lekko po niej motylkować. Tego wymaga „dobry ton“. Inaczej traktują rzecz tylko pisarze romansów. A powieść p. Łęczyńskiej nie jest romansem, ale zlekka retuszowaną... fotografją.

Redakcja.

DACHY PŁONĄ.

POWIEŚĆ ZIEMIAŃSKA Z OSTATNIEJ DOBY.

Powiat Kamienobrodzki o świcie.

Późny, styczniowy świt wstawał nad powiatem kamienobrodzkim. Szarzało. Pola śnieżne i niebo zlewały się w jeden perłowy ton. Po folwarkach już od dawna snuły się latarki, jak błyszczące punkty, porykiwało bydło w oborach i sennie kiwali się parobcy ze szczotkami przy koniach. W dworach ziemiańskich także gdzieniegdzie tkwiły już świetliste gwiazdki w oknach i cienie przesuwały sę po zimnych, nieogrzanych jeszcze pokojach.

Dziś jest dzień polowania dorocznego w Wiszence u państwa Ładosiów. Polowanie to cieszy się oddawna dobrą sławą. Wielka gościnność gospodarzy, obfitość zwierzyny, dziki nierzadkie, dobra organizacja, a w domu kuchnia wytworna i miły, swobodny nastrój, o który dba pani domu, zapewnia mu zawsze powodzenie i liczny zjazd gości. To też i dziś sąsiedzi, ponastawiawszy sobie z wieczora budziki, które wcześnie rano terkotać zaczęły, żwawo i ochoczo wyskakiwali z łóżek. Niektóremu droga wypadała daleka, nie można więc było się lenić.

Pani Alina Przybyłowska w Iwanówce, odziana w bronzowy, gospodarczy kożuszek, zaparzała kawę dla męża i syna w stołowym pokoju. Obok niej chwiejny płomień świeczki rzucał dziwaczne, skaczące cienie wokół na ściany. Mimo niepozornego i niedostatecznego światła, poznać można, że to osoba piękna jeszcze, choć już nie pierwszej młodości. Niepospolicie czysty łuk brwi pod kształtnem, białem czołem i duże, ciemne, aksamitne oczy nadają jej twarzy urok nieodparty, cała zaś postać, trochę przyciężka, porusza się wdzięcznie i miękko. Coś w niej zniewalać

musi serca wokoło, promieniuje życzliwą, dobrą, macierzyńską czujnością.

Drzwi otworzyły się z hałasem, ostry przeciąg wionął do pokoju. Zamigotała świeca, zczerniałe portrety dziadków na ścianach drgnęły, a pani Alina podniosła swe jasne, spokojne spojrzenie na męża i uśmiechnęła się przyjaźnie. Pan Karol był w butach siwych, filcowych i skórzanej kamizelce myśliwskiej.

— Zimno jest siarczyście, będziemy mieli ładną pogodę. Jak się masz Linko? — Podszedł do żony, pocałował ją w rękę, a potem w usta. Oddała mu pocałunek, wkładając weń całe ciepło swego serca.

— Będą ostro szły zające — podchwyciła jego myśl — ale dziki zato mniej pewne.

— Ja się u Kazia zawsze dzików spodziewam. To szczęśliwa knieja na zwierzynę. Masz kawę, Linko?

Siadł przy stole i zabrał się zaraz do krajania bułki i smarowania jej masłem, a żona zakrzątnęła się szybko, aby mu usłużyć: wychyliła się na korytarz i zawołała na Helę, by z kuchni przyniosła gorącą śmietankę, postawiła przed nim imbryczek dymiącej, aromatycznej kawy, z kredensu wyjęła kawałek sera i wczorajszego placka. Pan Karol jadł z apetytem, miał czas już zgłodnieć, bo od dobrej chwili był już na nogach; był i na folwarku i w stajni, gdzie dopilnować musiał ciężkiego porodu klaczy i odpowiednie wydać zarządzenia. Nie o wiele później zresztą jadał zwykle śniadanie; pracę w gospodarstwie pojmował poważnie i uczciwie, wstawał więc wcześnie, doglądając osobiście wszystkiego.

— Oźrebiła się nam gniada — mówił między jednym łykiem kawy a drugim — ale złe było położenie i musieliśmy naprostowywać główkę. Tak się złożyło dziwnie, że właśnie w chwili, kiedy przyszedłem do stajni, zaczął się poród.

— A źrebię żywe?

— Żywe jeszcze, ale bardzo słabe, klaczka także, obawiam się, że żyć nie będzie.

— Pójdę się popatrzyć po waszym wyjeździe, trzeba się tem zająć.

— Już ja wiem Linko, że skoro ty się zajmiesz, to źrebak do wieczora brykać będzie. Owszem, zrób coś dla niego, bo szkoda by mi go było. Klacz dobra, może być od niej dzielny źrebak, a w tym roku nie spodziewam się wielkiego przychowku.

Pani Alina chciała jeszcze coś odpowiedzieć, ale właśnie wszedł Antoś i, jak zwykle, serce jej wybiegło ku niemu.

— Czemu tak marudzisz? — zapytał ojciec. — Niezadługo już pora jechać.

— Wstyd mi, zaspałem trochę — z wdziękiem dziecięcym niemal jeszcze tłumaczył się Antoś, całując rodziców na dzień dobry.

Antoś ma dopiero lat 19, ale już skończył nauki i przed świętami zdał ostatni egzamin w średniej szkole rolniczej. Gimnazjum szło mu bardzo tępo, toteż rodzice w porę zdecydowali się wycofać go stamtąd i przenieść go do Czernichowa. W ten sposób wykształcenie jego, acz nie bardzo rozległe, wcześnie fachowo zostało ujęte i chłopak, nierozgoryczony, niezniechęcony, w zaraniu młodości mógł już stanąć do pracy zawodowej.

— Ojciec twierdzi, że dziś bardzo zimno — mówiła pani Alina, stawiając przed synem kawę i śmietankę. — Uważaj w lesie na twoje odmrożone uszy, bo obawiam się, że na stanowisku o wszystkiem zapomnisz.

— I wtedy nic mi nie zaszkodzi, matuś — odparł z uśmiechem Antoś.

— A strzelbę masz przeczyszczoną już? — spytał ojciec, gasząc świecę, gdyż dzień wstawał i w pokoju rozjaśniało się.

W tym czasie szła pod górę ścieżką do domu Jula, praktykantka, wracając z obory. Szła gwiżdżąc wesoło

i wymachując w ręku trzymaną szpicrutą. Głowę, nieosłonioną niczem, z bujną, krótko uciętą czupryną, w tył odrzuciła i śpiewa przed siebie hymn radosny życia. Postać jej cała wyraża zdecydowanie i pewność swej władczej młodości. Krok jędrny, elastyczny, buty skrzypią po zmarzłym śniegu w takt młodego rytmu, co gra w jej żyłach. Wbiegła na ganek żwawo, zdobywczo, otrząsnęła śnieg z butów i przeszedłszy sień, otworzyła drzwi do stołowego.

— Udój: 85 litrów, wysłano do Kamieniobrodu wraz z wieczornym udojem 110 litrów, 15 litrów dla cieląt, 3 litry dla prosiąt, wszystko zapisano na rejestrze — zameldowała od drzwi donośnie, służbiście, w stronę pana Karola. Uśmiechnął się i skłonił głowę.

— Dziękuję pani.

— Może pani zaraz wypije śniadanie, kawa jest gorąca, a pani zapewne zmarzła — zatroskała się pani Alina.

— Nie, dziękuję, pójdę odpocząć na górę, może jeszcze zdrzemnę się trochę, przyjdę za godzinę.

Drzwi zamknęły się za nią i drewniane stare schodki jękły pod zamaszystym jej krokiem.

— Czy nie zadużo od niej wymagasz Lolu? — mówiła pani Alina do męża. — Dla młodej dziewczyny, nieprzyzwyczajonej codziennie wstawać o 4-tej do podoju, to ciężki obowiązek!

— Trudno. Jeśli chce być naprawdę dobrą praktykantką i nauczyć się wszystkiego, musi przejść tę twardą szkołę, ale sądzę, że nie kosztuje ją to zbytnio. Jest już około dziesięciu dni tutaj, od tygodnia wstaje o 4-tej; zawsze punktualnie jest przy podoju i nie widzę zmian niekorzystnych w jej wyglądzie... Ale zbierajmy się Antosiu, bo pora na nas ostatnia!

Przed gankiem stały już proste, drewniane załubnie, zaprzężone w mocne, grube kasztany, a Andruszko zgarbiony, tonąc głową w wysokiej baraniej papasze, poziewał na koźle.

Obaj panowie opatrywali jeszcze strzelby, dopinali rzemyków w futerałach; w końcu, otuleni w dobre świtki, umieścili się w saniach. Pani Alina stała na ganku, towarzysząc im do ostatniej chwili. Już Andruszko cmoknął na konie, już jękły janczary, kiedy z impetem wybiegła na ganek Maryś, 10-letnia, najmłodsza córka, ulubienica ojca, w niedopiętej sukience i z rozrzuconym warkoczem. Rzuciła się ku niemu i gramoląc się na sanie, krzyczała:

— A nie pokazać tatkowi kolanka? A nie chce tatko szczęścia? Ale ja pamiętałam, choć tatko zapomniał. Patrz i ty Antosiu, patrz!

Z całą prostotą dziecięcą i wdziękiem niewinnym podrzuciła wysoko sukienkę i błysnęła białemi majteczkami, gołem kolankiem i gołą łydeczką, bo w pośpiechu włożyła na bose nogi tylko niedosznurowane buciki.

— Ej, ty mały narwańcze — zaśmiał się ojciec, całując ją w głowę — teraz już chyba szczęście zapewnione. Uciekaj, uciekaj mała, bo się spóźnimy!

— A pamiętaj Antosiu, przywieź mi wszystkie wystrzelone gilzy! — krzyczała za oddalającemi się saniami.

Pani Alina odprowadzała ich oczyma, aż do zakrętu drogi, za białą bramę; pogodny uśmiech jaśniał na jej twarzy, a potem zeszła na dziedziniec i skierowała się ku stajniom do małego źrebaka.

Pan Jan Wyszymirski z Sytego Kąta nie jeździł nigdy na polowania, ani w sąsiedztwo. Twierdził, że nie ma czasu na takie głupstwa i rzeczywiście pracował, jak wół roboczy, od wczesnego rana do nocy.

Dniało zaledwie, kiedy wyszedł ze swojej siedziby, którą domem nazywał, a która w rzeczywistości była ruiną i kupą walących się gruzów z dawnego, wspaniałego pałacu, spalonego zupełnie w czasie wojny i w której od strony południowej urządził sobie trzy skromne pokoiki. Postawił kołnierz futrzany, wcisnął głowę głęboko w ramio-

na i świecąc sobie od czasu do czasu latarką, szedł w stronę folwarku. Tam dopiero zaczynał się jego świat, arena jego pracy i pole wszelkich wysiłków. Budynki tu wyciągały się jedne za drugimi, okazałe, wzorowo utrzymane, świadcząc — ułudnie niestety — o dobrobycie, o dochodach majątkowych i o sile finansowej. Po kamiennym bruku zadudniały miarowe kroki w ciężkie buty odzianych dwóch parobków, którzy na silnym drągu nieśli potężny szafel z wywarem. Minęli dziedzica, pozdrawiając go, szafel zakołysał się lekko, gdy podnosili ręce do czapek, wonna, ciepła para zakłębiła się nad nimi. Pan Wyszymirski mocno wciągnął zapach razowego chleba, który unosił się ze szafla i rozpływał się po całem podwórzu, a potem wszedł za chłopami do obory.

Słodka, ciepła mgła buchnęła mu w twarz i przylgnęła do niego. Zewsząd rozlegał się szczęk łańcuchów i mlaskanie krowich języków, liżących ciepłą polewkę. Milcząc, przeszedł oborę, baczny, czujny wzrok kierując w jedną i drugą stronę. Krępy, barczysty, z rękoma w kieszeniach, z zaciśniętemi wargami i szczęką naprzód wysuniętą, skupiony w sobie, wyrażał siłę woli,ześrodkowaną i naprężoną w jednym kierunku. Gospodarz „con amore“, całego siebie wkładał w udoskonalenie i podniesienie swego warsztatu pracy. Nie dbał o jadło, ani o swą wygodę osobistą, zapominał o wszystkich innych obowiązkach, społecznych, towarzyskich, ba, mówiono z przekąsem, że nawet i o ożenku, każde swoje tchnienie poświęcając pracy na roli, każdy nerw zaprzęgając w jej służbę. Wzorem też świecić mógł jego folwark daleko wokoło. Ludzie, jadący drogą, przystawali, otwierając oczy szeroko ze zdumienia: „Ho, ho, ależ to ci buraki! Ależ to bydło na paszy! Wymiona po ziemi się wloką. Co to za pałace, te budynki wzorowe!“ Cmokali też ustami zazdrośnie dalsi sąsiedzi, gdy ich przypadek zawiódł w tę stronę, ale bliżsi wiedzieli, że niemal wszystko już było w rękach wierzycieli. Tylko dzięki układom i pertraktacjom przeciągała się sprawa ostatecznej licytacji. Ale

pan Jan oddalał myśl o tych sprawach. Był urodzonym optymistą. Chyba nie byłoby już całkiem sprawiedliwości na świecie, gdyby napracowawszy się tyle lat i doprowadziwszy do tak kwitnącego stanu swój warsztat, miał go utracić! E, nie dopuszczą do tego, coś się na świecie przemieni i dadzą mu dalej pracować spokojnie!

Przeszedł do stajni. Migają zewsząd szczotki lub wiechcie słomy, konie rżą, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, tulą uszy, niektóre poddają się z przyjemnością rannej toalecie, zady lśnią czerwono w świetle latarń. Z boksów wychylają się mądre, piękne głowy klaczy pełnej krwi, aksamitne nozdrza dotykają w przejściu twarzy pana Jana. Wita się z niemi, głaszcze z przyjemnością. To jego ulubienice, rżą do niego. On wyciąga chleb i cukier z kieszeni, karmi je, wchodzi do boksu, ogląda, klepie po szyjach.

W rogu stajni budują się dwie nowe klatki dla podrosłych źrebaków. Pan Jan drewnianym metrem sprawdza ich wymiary i raptem rozlega się głos jego gromki:

— Ławrenty!

— Jestem, proszę jaśnie pana. — Starszy zawiadowca stajni podchodzi, ze czcią trzymając czapkę w ręku.

— Mówiłem wyraźnie, że klatka ma mieć 2 m 30 cm szerokości, a ma tylko 2 m 15 cm.

— Ja myślał... że tak będzie lepiej, bo więcej miejsca zostanie na stoiska.

— Niech Ławrenty nic nie myśli, tylko tak robi, jak ja każę. 2 m 15 cm jest stanowczo za mało, będzie źrebakom za ciasno.

— Kiedy... proszę jaśnie pana... już deski tak pocięte — skrobie się w głowę zakłopotany Ławrenty.

— Pocięte, mówicie? To tem gorzej, trzeba porżnąć nowe. Klatka nie może mieć 2 m 15 cm. Zrozumiano?

— Ta... zrozumiano.

W Antonówce, która pamiętała dobre ongiś czasy przyjęć i hucznych zabaw, a dziś jest tylko resztkówką z 20 morgów, bez obejścia dworskiego, w którem sąsiad - chłop gospodaruje, pani Cerkawska, stękając głośno, spuściła bose nogi na wytarty dywanik, wciągnęła stare pantofle i okrywszy się bardzo już starą kurtką, ze świecą w ręku poczłapała w stronę kuchni.

— Marynka, Marynka! — wołała ochrypłym głosem, szarpiąc za ramię zaspaną dziewkę. — Wstawaj leniu jeden, bierz skopek i idź do krowy!

— Oo, tak meni sia szcze spaty chocze — wyciągała się i głośno poziewała tęga, brzydka dziewucha.

— A skaranie z tobą latawico jedna! Z kawalerami wieczorem, to umiesz przystawać, a rano to ci się spać chce! — wołała pani Cerkawska, trzaskając naczyniem i sama przygotowując skopek i garnki na wodę.

— Mamo, o jeden ton niżej! — bijąc w ścianę wołała z przyległego pokoju Janka, jedna z dwóch najmłodszych córek, które jeździły jeszcze do szkoły w Kamienobrodzie.

— I na was już pora wstawać smarkate, ruszcie się! — wołała w stronę ściany pani Cerkawska.

— Wypraszam sobie budzić nas przed czasem! — odburknęła Janka i podciągnąwszy kołdrę na głowę, zamknęła oczy.

— Niemożliwa jest mama z tymi hałasami! — mruknęła na drugiem łóżku Misia.

— Jeśli się nawet spóźnimy do szkoły, o wa, wielkie rzeczy, nie pierwszy to raz — dopowiedziała Janka.

— Możemy jeszcze spać dobrą chwilę.

Pan Cerkawski w drugim pokoju obrócił się na łóżku, wygniecione sprężyny materaca jęknęły głośno, zaświecił świecę, popatrzył na zegarek, a potem zapalił papierosa i mocno wciągnął dym. W pokoju leżało gęste, ciężkie powietrze. Pan Cerkawski zakaszlał się mocno, aż do łez, zaledwo mógł zgasić świecię, ale potem, leżąc już spokoj-

nie, z otwartemi oczyma w ciemność, palił cicho dalej i myślał:

— Dziś polowanie u Ładosiów. Nie pojadę. Myśleli może, że przyjmę zaproszenie, że mi się będą mogli naurągać, gdybym zajechał na swych bosych, słomą wyścielonych saneczkach, temi szkapami przeklętemi, a oni tam, przed moim nosem, wypinaliby się w swoich załubniach i w swoich futrach kosztownych. Nie, tak nisko Cerkawski nie upadł jeszcze, aby cudzej pysze za pokarm służyć. Niedoczekanie wasze! I na was kiedyś przyjdzie godzina. Gdybyż to mnie w życiu ten mój pech tak nie prześladował, czem bym ja to był teraz! Et, djabła tam, życie grosza nie warte. Zdechnąć lepiej... Tak, umrzeć i odpocząć wreszcie! — westchnął zmęczony i odrzucił daleko wypalonego papierosa.

Dzień zapowiadał się ładny, choć słońca nie było jeszcze widać. Wysłało tylko, jako gońców, promienie swoje, aby rozpędzić mgliste opary. Wszystko szkliło się i perliło, zarysowywały się wyraźniej na białem tle gałęzie drzew przydrożnych i gdzieniegdzie krzaczek oporny, z pod śniegu zuchwale wystający i po wioskach kominy chat. Widać także coraz wyraźniej punkty ciemne, posuwające się szybko wśród nieprzerwanej bieli śniegu. Punkty rosną w oczach, słychać coraz lepiej brzęk janczarów. To myśliwi jadą na polowanie. Tam, od strony kamiennej rzeczki, dziś całej zamarzniętej, pnie się w górę pojazd księcia Kamienobrodzkiego. Dostojny pan skrył głowę w wysokim kołnierzu, okryty futrami siedzi nieruchomo, może trochę drzemie, a na koźle, obok woźnicy, jak struna wyprostowany tkwi strzelec z dwoma futerałami, w których starannie ułożone są sławne i świetne Holandy.

Od strony przeciwnej, z kniei białokonieckiej, wypadły na drogę, wyślizganą jak szkło, załubnie panów Kostrzyckich, ojca i syna — Wincentego i Tadeusza. Ho, ho, myśliwi to zawołani, a sławni daleko poza okręgiem powiatu!

— Słuchaj Tadziu, jeśli mi sprzątniesz jeszcze raz lisa z przed nosa, jakeś mi to uczynił w Marynówce na polowaniu, to... to naprawdę nie wiem, co ci zrobię...! Wydziedziczę cię chyba! — dokończył z emfazą pan Wincenty, sapnął i poruszył małą szczotką siwe włosy. Lubił przesadę. Zawsze był taki. Wesoły utracjusz, szczery kompan do bitki i do wypitki, łatwy wielbiciel płci pięknej, na hulanki zadłużył prawie cały majątek. Groźba wydziedziczenia syna z tych niedobitych resztek wywołała brzydki grymas na twarzy pana Tadeusza.

— Co?.. Ej nie, niech ojciec będzie spokojny, nie będę strzelał, o ile nie zobaczę — wycedził wolno, uśmiechając się sarkastycznie.

— Ty żartujesz, a ja mówię poważnie. Nie chcę tego, rozumiesz? Jeśli zwierzyna idzie na mnie, to ja ją strzelam, przecież nie jestem ani stary, ani niedołężny, nie potrzebujesz mnie wyręczać! Mogę przestrzelać tuzin takich smarkaczy, jak ty.

Pan Tadeusz wydął usta wzgardliwie i wzruszył ramieniem. Zdawało mu się zawsze, że przewyższa ojca pod względem myśliwskim, ale nie lubił się z nim kłócić.

— Ciekawym, co z dzikami będzie? — zmienił temat rozmowy.

— Nie będzie dzików, zobaczysz — odciął krótko pan Wincenty — wszystkie siedzą teraz w Białokońcach, u nas.

— No, to zapolujemy chyba jutro, papo — pojednawczo zaproponował pan Tadeusz. I snuli sobie dalej pogwarki o polowaniu. Ojciec wybuchowy i prędki, syn pozujący na anglika, powolny i niby apatyczny, ale na strzał obaj zachłanni, obaj strzelcy świetni, wytrawni i nad przeciętność zamiłowani.

W tumanach śniegu, wyrzucanych kopytami końskiemi i lśniących różowo od wstającej zorzy porannej, brnęły przez zamarznięte stawy czelatynieckie wspaniałe załub-

nie hrabiego Gaszyńca. Dwa potężne gniadosze, prychając i skacząc szczupakami, wyrywały pośród jęku janczarów ciężkie sanie z puszystego śniegu. Furman, siedząc nieruchomo na koźle, kłopotał się, że złą drogę wybrał, a wewnątrz sań dwóch panów, okrytych szczelnie futrami, rozprawiało o urodzie ziemianek w powiecie. Sławny zdobywca serc niewieścich, pan Piotr Szczerba - Szczerbiński, dyplomata, chwilowo na urlopie u hrabiego Gaszyńca bawiący, rozpytywał przyjaciela o teren, na którym nowe zdobycze będzie mógł dziś zanotować.

A tam w dali, mały czarny punkt, rosnący w oczach, to skromne, drewniane saneczki, wiozące dwóch dzierżawców pani Róży Ohorskiej, panów Jerzego Milczkowskiego i Zdzisława Domeckiego, obydwóch przez żony blisko z nią spokrewnionych.

— Byłeś u ciotki wczoraj w sprawie raty? — pytał Jerzy swego powinowatego i współtowarzysza niedoli.

— A byłem i oczywiście nic nie wskórałem, o obniżeniu raty mowy niema. Stawia ciebie na przykład. Mówi: „Jerzy zapłacił, możesz i ty zapłacić!“

— Ba, zapłaciłem, zapłaciłem, ale wiesz jakim kosztem. Do dziś jeszcze nie mogę odżałować tych sześciu krów, które na tę ratę sprzedałem.

— Czemuś to zrobił? Poderżnąłeś swój warsztat, inwentarza bezkarnie sprzedawać nie wolno, a ciotka przecie o nic nie pyta, byle miała pieniądze. Mnie także utrudniłeś targowanie się.

— Nie przypuszczasz chyba, że bez targu i bez długich prób uzyskania opustu zdecydowałem się na poważne obcięcie inwentarza. Znasz przecie stałą śpiewkę ciotki: „Majątku ze sobą do grobu nie wezmę, płaćcie teraz w porządku, a Uzary będą dla Zosi, tak, jak Kalinówka dla Maryli“. Gdyby nie Zosia, dawno przestałbym płacić i wyrywał stąd, gdzie pieprz rośnie, ale Zosia mi wciąż przedkłada, że trzeba myśleć o naszej małej, że lepiej pocierpieć

teraz, a jej przyszłość zapewnić. Cóż mam robić? Płacę, podcinając swój byt obecny.

— A bodajby się zadławiła baba swoim testamentem! Ja mam przecie troje dzieci, jeszcze bardziej zależeć mi powinno na Kalinówce. — Zamyślił się ponuro pan Zdzisław, a po chwili dodał: — Może w końcu sprzedam tego Faraona. Dobry, piękny koń, ale jeśli potrzeba już tę ofiarę ponieść... dla dzieci...

— No widzisz, jabym mojego Maestosa nie sprzedał nigdy. Wolę już zmniejszyć oborę. Koń pod siodło, to jeszcze jedyna przyjemność, na którą pozwalam sobie w życiu. Przywiązałem się do niego, jak do przyjaciela i niechby ciotka ostatnie zlicytowała mi ubranie, Maestosa nie oddam!

— I mnie to lekko nie przyjdzie z wierzchowcem się rozstać i już tylko per pedes apostolorum po polach wędrować, ale jeśli to ma być dla dzieci... — powtórzył z naciskiem i jakby z urągliwym przekąsem.

— Ładnie nas urządza ciotka — dorzucił zgryźliwie pan Jerzy.

— Z niej to tylko inspektor skarbowy ma pociechę, bo z podatkami nie zalega ani grosza.

— Nietrudno, jeśli tak swoich dzierżawców dusi. Ale jej własne gospodarstwo w Kamienówce, to obraz nędzy i rozpaczy.

— Jurek, a co zrobimy z ratą wiosenną? — zagadnął nagle pan Zdzisław.

— Nie myślę o niej, teraz jadę na polowanie. Poco mamy sobie psuć zabawę tak czarnemi myślami? — żachnął się pan Jerzy.

A tymczsem pani Ohorska wychodziła z kościółka po nabożeństwie, którego nigdy, nawet w powszedni dzień, nie opuszczała i schodziła wolno do folwarku w dole. Wysoka i szczupła, choć już dobrze po sześćdziesiątce, trzy-

mała się prosto, chodziła żwawo i dzierżyła wszystkie wodze gospodarstwa w twardej i nieustępliwej dłoni.

W połowie drogi spotyka ją ekonom Puczniewski, widocznie zafrasowany, chyli się do kościstej ręki i stara się jak najprędzej zrzucić ciężar z serca:

— Całuję rączki jaśnie pani! Niedobra nowina, koń nam dzisiaj zdechł.

— A, to już napewno Puczniewski nie dopilnował czegoś.

— Ale gdzie tam, robiło się, co mogło... To nie z choroby, a z nędzy on zginął. Tak zabiedował się, zabiedował, aż zginął.

— Co mi tam Puczniewski mówi! Czy nie dość żarcia koniska mają, teraz, gdy nic nie robią?

— Et, co tam siły i życia z takiej brahy być może? Przydałaby się obroku kapinka.

— Oo, jaki Puczniewski mądry, a skąd go wziąć, jak go nie ma?

— Proszę jaśnie pani dziedziczki, a bo to ja jeszcze jedną rzecz miał zameldować, że...

— Cóż jeszcze?

—Że to... niby... służba nie chce brać tego zrośniętego żyta na ordynarję.

Pani Róża żachnęła się oburzona.

— Jakże to? Przy takiej biedzie, kryzysie, jeszcze będą przebierać! Są tacy, co nie mają chleba zupełnie, a oni pomiatać będą tem, co dostają! Którzyż to są tacy panowie?

— A jest tam kilku, nie spamiętali mi się wszyscy — wymijająco tłumaczył Puczniewski.

— Proszę ich zapisać wszystkich dokładnie, cofnę im w tym roku pastwisko za górą, niech się kręcą z bydłem!

I fukając w duszy na zuchwalstwo dzisiejszych ludzi, obchodziła pani Róża folwark, zaglądając do wszystkich obórek, chlewków i zakamarków. Chude, jak szkielety, krowy oglądały się z żalem na swoją panią, zrezygnowane koniska opuszczały łby nad żłobem nisko, wywąchując

resztki paszy, parszywy kot siedział w drzwiach obory, ale pani Róża nie zwracała na to uwgi, patrzała tylko, ile wyszło buraków, ile mleka udojono i rozmyślała gorżko, co to będzie, jeśli Domecki nie zapłaci raty, bo pieniędzy potrzebowała teraz koniecznie na zapłacenie podatku gruntowego. Jeśli Domecki spóźniłby się lub, nie daj Boże, zawiódł ją zupełnie, to musiałaby znów sięgnąć do kapitału w banku, a to przecież byłoby największem nieszczęściem. Tych kilka tysięcy dolarów, które uciułała sobie skrzętnie i pracowicie w lepszych czasach, stanowiły w jej mniemaniu nienaruszalny depozyt na „czarną godzinę", jedyne jej zabezpieczenie przeciwko wszelkim nieprzewidzianym wypadkom. A już w zeszłym roku na wiosnę skubnąć z niego musiała parę setek...

— Co to za czasy, co za czasy! — biadała idąc ku domowi. — Gdzież to dziś znaleźć porządnego dzierżawcę?

Dom stał okazały, piętrowy, ze wspaniałym podjazdem, ale był pusty i niezamieszkały przez cały rok. Nigdy pani Róża nie zapraszała gości. Mieszkała sama w dwóch pokojach od ogrodu i wchodziła do nich przez kuchnię. Pani Gołąbkowa, jedyna jej powiernica i towarzyszka, pełniąca obowiązki klucznicy od niepamiętnych lat w Kamienówce, przyrządzała śniadanie.

— Znowu koń nam padł dzisiaj — użaliła się pani Róża.

— Co też pani dziedziczka mówi! Znowu ten niezdara Puczniewski nie dopilnował. Ale ta proszę się tem nie przejmować. Kłopoty na czczy żołądek, to niezdrowo. Kawusi niech się pani dziedziczka napije — taka dobra, smaczna, a czego się tam trapić niepotrzebnie!..

Gołąbkowa żwawo toczyła wkoło swemi krągłemi kształtami, syta i zadowolona, żywy kontrast swej pani. Widocznie, jako szafarka, nie żałowała sobie niczego, a w łaskach u pani będąc, nie wzbudzała jej podejrzeń, choć umiała jej dobro i ku swemu obracać pożytkowi. Porastała tedy w piórka i dobry humor nie opuszczał jej nigdy, czem

zjednywała sobie chlebodawczynię. Ale dziś nie potrafiła jej rozweselić. Pani Róża zaledwo ustami dotknęła filiżanki.

— Nie smakuje mi Gołąbkowa, nie smakuje — odsunęła od siebie śniadanie i zatroskana oparła głowę na ręku. Uporczywa myśl nie dawała jej spokoju:

— Co też będzie z ratą Domeckiego?

A przed domem państwa Ładosiów w Wiszence, zajeżdżały z brzękiem janczarów szumnie i pysznie sanie z myśliwymi.

Polowanie w Wiszence.

Pani Ładosiowa zajęta była przygotowaniami do polowania. Wieczorem miał być obiad z paniami. Bez wielkiego trudu przekonała męża, iż mimo kryzysu będzie można pozwolić sobie na to małe przyjęcie.

— Jeszcze i tak zarobimy na polowaniu. Policz tylko, przypuszczalnie padnie 100 zajęcy i t. d.

Pan Ładoś nigdy nie stawiał zaciętego oporu żonie, tak więc rzecz została postanowiona i pani Ida zajęła się energicznie rozsyłaniem zaproszeń, obliczaniem gości i wszystkiem, czego potrzeba, aby przyjęcie wypadło jak najlepiej. Trudu nie żałowała. W Wiszence musiało być zawsze wszystko najnowsze i najmodniejsze. Niech ludzie wiedzą, że to dom kulturalny! Elektryka i wodociągi i radjo, i telefon — wszystkie udogodnienia techniki i postępu są w Wiszence już dawno zastosowane. Ale potrzeba jeszcze, aby i styl przyjęcia i wygląd estetyczny wnętrza był nawskroś nowożytny i aby pewna nowoczesna kultura panowała na przyjęciu. Pozatem szczyciła się pani Ida, że nikt nie może posądzić Wiszenki o parafjaństwo lub kołtunerję, bo tu czytają książki, tu wiedzą o sztuce, o nowej literaturze, przynajmniej, jeśli chodzi o żeńską połowę domu.

A zwłaszcza tym razem, kiedy na horyzoncie powiatu ukazała się zamorska gwiazda, światowiec, o którym fama niesłychane głosiła rzeczy, musi wypaść przyjęcie u pani Ładosiowej specjalnie wytwornie i kulturalnie.

Od wczesnego rana już pani Ida, szykowna, smukła blondyna, lat około 35, pełna życia i werwy, opięta w krótką, sportową sukienkę i kolorowy jemperek, krząta się po całym domu. W kuchni ma dzielną pomoc w osobie wytrawnej gospodyni i doskonałego kucharza. Jest więc spokojna o wynik kulinarny, ale chodzi jeszcze o wrażenie estetyczne mieszkania. Przebiega więc pokoje, rozglądając się wszędzie badawczo i lustrując ich wygląd. Lokaj Aleksander postępuje za nią ze służbistą powagą.

Urządzenie pokoi było raczej zbieraniną mebli, wyłowionych z pogromów wojennych i połatanych jako tako domowym przemysłem. Na nowe i stylowe nie mogła się jeszcze zdobyć pani Ładosiowa, potrafiła jednak niedobitki wojenne ułożyć harmonijnie i pokryć wszystko pewnym swoistym wdziękiem. Obok pysznych, lecz mocno nadwyrężonych bidermayerów, lub lekkich francuskich etażerek, stała biedota wiejska, lecz tak jakoś szczęśliwie okryta poduszkami i kilimami i umiejętnie w cień zasunięta, że nie raziła, nie rzucała się w oczy. Tolerowano ją nawet w salonie. Pani Ida miała oko nieomylne i pewną artystyczną rękę. Dotknąwszy tego i owego zgrabnymi palcami, rzuciwszy Aleksandrowi taki i owaki rozkaz, odetchnęła wreszcie z ulgą.

— Ciekawam, jak się będzie podobać tutaj panu Szczerbańskiemu — pomyślała — chyba będzie miał wyrozumienie dla naszych połamańców wojennych! — Tu z pewnem rozczuleniem spojrzała na odłamany róg w ramie zwierciadła. — Ale chodzi o wrażenie całości, o ducha, no i o mnie także...

I zadumała się na środku salonu, a potem, poglądając uważnie w zwierciadło: — Taki bywalec, dyplomata, ulubieniec kobiet... podobno miał ich już legjony!... Ciekawe,

ciekawe, jak on wygląda, czy też i mnie podobać się będzie? Kobiety zawsze, jak owce, ciągną do jednego. A może właśnie nie przypadnie mi do gustu. Ale ja muszę na nim zrobić wrażenie, muszę! Chyba potrafię!

Pan Kazimierz Ładoś w swojej kancelarji udziela jeszcze wskazówek leśniczemu, ostro gromi Jaśka strzelca za niedokładne czyszczenie strzelb i klnie, na czem świat stoi, bo w ostatniej chwili zarzucił mu się kluczyk od kasy, a tu już janczary grają na podwórzu. Wygląda przez okno. Jadą myśliwi, sypią się sanie jedne za drugiemi.

— Co za punktualność! — zaklął pan Kazimierz jeszcze i wypada do przedpokoju witać gości. Gwar wesołych głosów rozlega się donośnie.

Pani Ida, promienna i zaciekawiona, oczekuje gości w stołowym pokoju, gdyż wypiją tylko gorącą herbatę i zaraz pojadą do lasu. Z szerokim gestem, zamaszyście, wszedł pierwszy pan Wincenty Kostrzycki i przywitawszy się z panią domu, zwrócił się do gospodarza, gładząc ruchem, sobie właściwym, szpakowatą czuprynę.

— A co, Kaziu, z dzikami słychać?

— Niewiadomo jeszcze.

— Bo ja oczywiście przywiozłem tylko sztuciec.

— A z czegóż będziesz do zajęcy strzelał?

— Także ze sztućca. Ja już teraz wogóle nie używam innej broni, tylko kulową, a nie przepuszczę żadnej koperze. Uśmiercam wszystkie, co mi się nawiną, ty wiesz zresztą, jak ja strzelam, co?

Z ironicznym uśmiechem, skrzywiony i przygarbiony trochę, wsunął się za ojcem młody Kostrzycki, a już w drzwiach rysowała się wykwintna postać hrabiego Gaszyńca. Pani Idzie serce zabiło żywiej, bo poza jego ramieniem ujrzała wygoloną twarz oczekiwanego dyplomaty.

— Pani pozwoli: mój przyjaciel Szczerba - Szczerbański — przedstawiał hr. Gaszyniec. — Czuje się bardzo szczęśliwy, że go państwo, acz nieznajomego, na polowanie zaprosili.

Pani Ida obrzuciła go szybkiem, ciekawem spojrzeniem.

— Wcale przystojny — pomyślała — i elegancki naprawdę. Na kamizelce ma dwie plamy, ale krawatka zielona, zachwycająca, z pewnością paryska. I z najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki zdobyć się tylko mogła, podała mu rękę.

— Bardzo to dla nas pomyślna okoliczność, że taki światowiec, jak pan, zagościł w naszym zapadłym powiecie. Radzi jesteśmy panu i ze szczerą gościnnością witamy. — I nie mogąc dłużej utrzymać na wodzy chęci popisania się krasomówczym okresem:

— J'espère, que vous allez briller, comme un astre, dans notre petite réunion.

— Oh, c'est un compliment immérité, madame — z dwornym uśmiechem odwzajemnił się pan Piotr. — J'ai peur de vous apporter un désappointement, je ne suis rien qu'un rustre. Niech pani pamięta łaskawie, że zanim przylgnął do mnie ten nieszczęsny tytuł dyplomaty, byłem człowiekiem „wsiowym" i zostałem nim w duszy po dzień dzisiejszy. Kocham swobodę wiejską i ponad wszystko cenię jej prostotę.

Pani Ida wydęła wargi dosyć zdumiona.

— Niech pani zbytnio łaskawem okiem nie patrzy na niego — wtrącił hr. Gaszyniec. — Będziemy wszyscy zazdrośni, a z nim trzeba uważać, il prend feu facilement.

— Ale ty mi urabiasz opinję! — zawołał pan Piotr wesoło — jeszcze uprzedzasz do mnie tak łaskawą gospodynię.

Rozmowa urwała się, gdyż jeden za drugim wchodzili goście, napełniając cały pokój gwarnym animuszem. Wyglądali wszyscy dziarsko, butnie i dzielnie. Truchlejcie w lesie biedne zajączki! Tu zbiera się armja nemrodów, uzbrojona, jakby szło o walkę, nierównie groźniejszą. Srogą rzeź wam sprawią!

Pani Ida ma czas tylko rozdawać uśmiechy i strzępy słówek, wskazywać miejsca przy stole. Herbatę gorącą roznoszą, niektórzy siadają posłusznie, raczą się obficie wędlinami, inni, zapalczywsi, oblegają gospodarza, pytając o dziki, o warunki polowania i t. d.

Pan Kazimierz odpowiada roztargniony i liczy gości. Przybyło kilku panów z sąsiedniego powiatu, świetny strzelec, leśniczy, pan Rura, inspektor straży skarbowej pan Malicki; oczekuje jeszcze tylko księcia, bo starosta zapowiedział pewne opóźnienie. Kręci się gospodarz, już blisko dziewiąta, pora najwyższa jechać do lasu, już nawet dał hasło. Myśliwi zbierają się w przedpokoju, w ostatniej chwili prawie robi się małe zamieszanie przy drzwiach i wchodzi książę pan.

— A, spóźniłem się widocznie. Niechże łaskawie sąsiad dobrodziej daruje mi winę, mea culpa, czuję się do głębi upokorzony, ale wystawcie sobie panowie, jest tak zła droga...

Pan Kazimierz odetchnął z ulgą i z promienną twarzą podszedł do księcia.

— Witamy, witamy dostojnego gościa. Im gorsza droga, tem bardziej cenić umiemy łaskawość księcia, że się trudzić zechciał.

— Ależ, sąsiedzie kochany, polowania w Wiszence mają taką sławę, że najgorsza droga przeszkodą nie będzie. Czy wolno jeszcze złożyć uszanowanie czcigodnej gospodyni?

Książę, zrzuciwszy futro i zatrzymując na szyi kraciasty, angielski szalik, wkroczył za panem Kazimierzem do stołowego, gdzie stała pani Ida wśród nieporządku opuszczonego stołu i krzeseł.

— W proch się rzucam do stóp czcigodnej pani — z emfazą, sobie właściwą, witał ją książę.

Pani Ida śmiała się.

— Ten styl górnolotny miesza mnie zupełnie. Czy księżniczki przybędą dziś wieczór na obiad?

— Sądzę, że tak. Mabel czuła się trochę zmęczona, ale mówiły mi, że mimo to, prawdopodobnie przyjadą.

— Bardzo się cieszę, takie są miłe obie! A zależy mi na paniach, aby przerwać trochę monotonję fraków. One zaś będą ozdobą naszego stołu.

— Czy przezacna pani przyjedzie też na łowy, jako sławna Djana powiatu kamienobrodzkiego?

— Przywiozę państwu bigos do lasu, aby być mile powitaną, a potem zostanę przez parę miotów, może św. Hubert łaskaw na mnie będzie.

Ale już gospodarz, niecierpliwy, odciągał księsia, myśliwi w futrach i czapach ciepłych wychodzili na ganek, dowcipkując i pogwarzając. Przed domem stał szereg prostych, niskich sań, okrytych derami. Pan Kazimierz żwawo naciągał świtkę, przewiesił strzelbę, wybiegł na ganek i spojrzawszy władczo na grupkę karnych myśliwych, zawołał dziarsko:

— Zatem, proszę panów, strzelamy do wszystkiego zwierza, na który ustawa zezwala. Dziki możliwe. Proszę siadać!

I wraz z księciem pojechali pierwsi, a za nimi długi szereg myśliwych, brzemiennych nadzieją miłych spotkań. Pod lasem odbyła się jeszcze narada z leśniczym, przyczem gospodarz kreślił laską na śniegu ostateczny plan strategiczny. Myśliwi nadsłuchiwali z sanek, czy czegoś więcej o dzikach się nie dowiedzą, ale tajemnica ta nie została odkrytą.

Więc jazda w knieję! Przybyłowskiemu wypadło stanowisko w olszynie, gęsto podszytej, strącił trochę okiści nad sobą i zapadł w zadumę, cisza bowiem panowała zupełna, jakgdyby w kniei nic się nie działo. Wrócił myślą do domu, do swych kłopotów: czy też do tygodnia wyrwie skądś pieniądze na zapłacenie bodaj części podatku, o który tak nagli inspektor skarbowy, bo pszenicę trudno sprzedawać teraz — taka tania, może lepiej jeszcze z nią poczekać. O owies nikt nawet nie pyta, a może... Strzał. Oprzy-

tomniał, wszak jest na polowaniu. Drugi strzał, bliski, z lewej strony, otrzeźwił go zupełnie, zwrócił uwagę w prawo. Coś idzie. Lisiura. Zbliża się błyskawicznie. Strzela przez siatkę gęstych gałęzi.

— Psiakrew, pudło! — i już lis w gąszczu takim, że strzelić trudno. Teraz wyskoczył na linię! Suchy strzał sąsiada i lis... jakby świeczkę zgasił, ani kitą nie ruszył.

— No naturalnie, Tadeusz kulą zabił lisa po moim śrucie. Tak, ale on nic innego nie robi, tylko poluje, ma więc dość sposobności do wprawy — myślał wściekły Przybyłowski. — Trzeba było wcześniej zdecydować się na strzał, tobym był jeszcze drugi raz poprawił. Przepadło.

Kilkanaście strzałów huknęło teraz, przeważnie z lewej strony, na flance.

Po tym miocie, który dał lisa i kilka zajęcy, nadjechał jeszcze starosta. Spóźnił się bardziej, niż zapowiadał, bo nie spodziewał się tak złej drogi do Wiszenki. Tłumaczył się gospodarzowi, że złamał resor i szofer go musiał drutem naprędce wiązać. Pan Kazimierz uśmiechał się grzecznie, nie wypowiadając głośno uwagi, która mu się na usta cisnęła, że dziś prywatnym samochodem nikt nie odważyłby się wyruszyć, ale rządowy wóz taki drobiazg, jak pęknięcie resoru, łatwo przeboleć może. Starosta nie był myśliwy, raczej dla towarzystwa brał udział w polowaniu. Postawił go też gospodarz na stanowisku, gdzie nie potrzebował zbytnio pudeł się wstydzić.

Po kilku miotach nazbierało się zajęcy ponad 50, humory się poprawiły, zwłaszcza po wódce przy wczesnem śniadaniu. Wczesnem, bo miano jechać do dalszego rewiru, gdzie, jak twierdzą myśliwi, dziki są otropione, czemu jednak gospodarz niebardzo dowierza, a może tylko udaje, aby gościom zrobić większą niespodziankę.

Z przyjazdem pani domu śniadanie na leśniczówce ożywiło się bardzo. Było więc gwarno, a nawet hałaśliwie w tym ciasnym i, jak zwykle na polowaniu, za gorącym pokoju. Pachniała sosnowa, świeżo wyszorowana podłoga,

wonna para pysznego bigosu z kapustą kłębiła się ponad stołem, kieliszki z wódką krążyły żwawo wśród myśliwych, siedzących ciasno przy sobie na wązkich ławach. Talerze opróżniały się błyskawicznie i pani Ida nakładała wciąż nowe porcje bigosu warzochą z dużego, żelaznego garnka.

— Tego lisa kulą zabiłeś Tadziu ślicznie — gratulował pan Karol rywalowi swemu przez stół, choć w duchu nie mógł mu go darować.

— Eh, zwyczajna rzecz — wzruszył ramionami pan Kostrzycki junior.

— Co za znakomity bigos — mówił pan Piotr Szczerbański, wyciągając swój talerz w kierunku gospodyni. — Oddaję z chęcią wszystkie homary i ostrygi paryskie za jedną tylko jeszcze porcję tego naszego polskiego smakołyku. Puis-je en demander encore, madame?

— Avec plaisir, cieszy mnie to, że panu smakuje. — I nakładając na talerz bigos, spojrzała mu z ładnym uśmiechem w oczy:

— Dużo pan już zabił dziś zajęcy?

— Jeszcze się nie rozstrzelałem, narazie oswajam się na nowo z knieją.

— A panu staroście czy sprzyja święty Hubert — zwróciła się uprzejmie do sąsiada, który, wyzbywszy się sztucznej pozy i skrępowania urzędowego, z radością używał na swobodzie w obcowaniu z towarzyszami myśliwymi.

— O, święty Hubert na mnie zawsze łaskaw — odpowiedział z błogim uśmiechem — ale nie o zające go proszę, nie zależy mi na zwierzynie, tylko na odpoczynku w tej zdrowej, czerstwej, wesołej atmosferze polowania. Zrzucam wówczas z siebie mundur, sztywny kołnierzyk, ten ciążący przymus urzędowy, a staję się człowiekiem, takim, jak inni, może myśliwym niezbyt biegłym, ale przynajmniej tolerowanym w lesie i któremu wolno się stykać z ludźmi przez krótki czas na nieprzymuszonej, koleżeńskiej stopie.

Co to za rozkosz! I to święty Hubert mi daje, muszę mu więc być wdzięczny.

— Nie widział pan tego zająca w ostatnim miocie? Szedł wprost na pana — pytał pan Rura pana Wincentego.

— Nie widziałem, musiał być chyba odemnie bardzo daleko; gdybym go był widział, to chyba bym mu nie darował.

— Ależ był od pana najwyżej...

— Musiało się panu zdawać, to wykluczone, abym go był nie dojrzał.

— Panowie, wyjeżdżamy! — wołał gospodarz.

Dopijano prędko kawy, kończono rozmowy.

— Niech pan patrzy, czem ja strzelam! — Pan inspektor Malicki wyciągał nabój z kieszeni i pokazywał go panu Karolowi.

— To zagruby śrut na zające. Zawsze lepiej strzelać drobniejszym. A jaką pan ma strzelbę?..

— Panowie, wyjeżdżamy! — Nie tak łatwo było gospodarzowi wyciągnąć gości na dalsze łowy. Wyjechali wreszcie po długich nawoływaniach.

Pan Szczerbański jechał z panią Ładosiową.

— Szkoda, że pani rano nie było, takie śliczne polowanie i tak uroczono w waszym lesie. Czy pani strzela?

— Właściwie strzelam trochę, ale nie zawsze mi się to udaje. — Miała mocne rumieńce, oczy jej błyszczały zadowoleniem: Podoba mi się dyplomata — pomyślała i spojrzała na niego zalotnie.

— Daruje pani, ale nie zgadzam się zupełnie z jej zdaniem, pani strzela świetnie, ale inną bronią: oczami.

— Tu jest teraz polowanie i nie mówi się o innych strzałach, jak do czworonogów...

— Przepraszam, gospodarz mnie woła! — Niedokończywszy rozmowy, zeskoczył pan Piotr z sanek i podbiegł do niego.

— Proszę tu stanąć. Na flance jest pan Kostrzycki. Pan pierwszy na linji. Proszę wziąć sztuciec.

— Czy pierwszy strzał do dzika? — zapytał pan Piotr. Gospodarz coś odpowiedział, ale niewyraźnie.

Jak słupki przydrożne, stanęli myśliwi, karnie, jak zawsze, pod pierwszą ścianą miotu, tak równo, że patrząc zdaleka, jeden drugiego zakrywał.

— Ale właściwie, czy pierwszy strzał do dzika, czy nie? — myślał pan Piotr, niedosłyszawszy odpowiedzi gospodarza. — Pewno i tak żaden dzik na mnie nie wyjdzie. — Siedział na krzesełku i dumał. Choć życie płynęło mu teraz przeważnie w gabinetach poselskich i buduarach kobiet, z młodości jeszcze wczesnej uniósł żyłkę myśliwską i ilekroć znalazł się w kniei, na polowaniu, całą piersią wciągał ożywcze jej tchnienie i cieszył się jej pięknem.

— Per Bacco! przyjemniej tu naprawdę, na tym ślicznym śniegu, zdrowiej, jak w atmosferze perfum i szminek wielkomiejskich i wśród obłudy światowej... Ale ta blondyna Ładosiowa ma djablika w sobie, przystojna kobieta! Niepoprawnie, siłą przyzwyczajenia, wracał chętnie do ulubionego tematu. Po śniadaniu zrobiło mu się trochę ciepło, ogarnęła go jakby senność, odrętwiał i zapadł, jak w próżnię, w jeden punkt wpatrzony. Nagle, ten punkt ruszył się.

— Rusza się, czy nie? — pytał się, natężając wzrok. Widok miał przed sobą rozległy i nie mógł być pewnym, czy to gałązka drgnęła, czy też naprawdę zwierzyna jakaś ruszyła się. — Jest — szepnął — idzie lis! Co ja mam teraz zrobić? Czy pierwszy strzał do dzika? Ach te baby! Żeby też teraz ktoś strzelił zdaleka!

Cisza. Na pół już się złożył do sztućca, bo czasu nie było na zmianę strzelby.

— Strzelać, czy nie? — Lis już pod linją. Mierzy i jeszcze się waha. Wreszcie, jakby niechcący, strzał pada i lis rozleciał się po kuli wielkiego kalibru.

— Właściwie głupstwo zrobiłem — mruknął pod nosem — ale lis jest lisem. Po tym strzale posypały się dalsze z lewej strony, jedne za drugimi, jak na komendę, wi-

docznie więc na ten pierwszy strzał czekali myśliwi i pewni, że do dzika strzelono, już bez skrupułu kropili do każdej zwierzyny.

Przed panem Piotrem było dość jasno, zdaleka już widział naganiaczy. Lecz co to? Czy to chłop jakiś wysforował się naprzód i sam idzie w krzakach? Nie, to dzik i to spory nawet! Idzie na prawo, strzelić nie można, bo nagonka blisko i ma się ku flance! A tam Kostrzycki. Byle tylko nie wyszedł na niego! Nie, zmienił kierunek, idzie na linję. — Tu go właśnie czeka czarny otwór lufy pana Piotra i gdy na krok wysunął się ze ściany leśnej — pada strzał.

Idzie dalej? Być nie może! Nie zaznaczył nawet! Czyżby kuli w ładunku nie było? Przecież musiał ją złapać! — Pan Piotr wściekły jest i oczom nie wierzy. Wtem drugi strzał z flanki pada i dzik w ogniu ruluje. Wszystka krew wzburzyła się w panu Piotrze.

— Czyżbym mógł wolno idącego dzika na 50 kroków chybić, a on miałby na trzy razy większą metę zabić? To niemożliwe!

Końca miotu nie mógł się doczekać, by stwierdzić skutek swego strzału. Miot wreszcie skończony, biegnie więc linją na trop.

— Chwałaż ci święty Hubercie, farba jest i to dobra! A i ścinka w miejscu strzału! Ostrożnie podniósł trochę szarej sierści, rozrzuconej po śniegu. Idzie dalej parę kroków. Piękny, czarny dzik leży nieruchomo na ziemi ze sztywnie wyciągniętemi nogami. Z pyska wystają białe kły i sączy się trochę farby.

— Leży na prawym boku, więc dobrze, ma kulę sąsiada z lewej strony dobrą, a z prawej?... — pyta i szuka niespokojnie dalej. Jest kula, na łopatce! Więc mój! Ale, że też po tej kuli szedł jeszcze, to niezrozumiałe! Kula sąsiada była właściwie już niepotrzebna, bo po pierwszej, mojej, nie uszedłby już daleko.

Gdy jechał do myśliwych, przeżuwał wrażenia, że

dzika zawdzięcza swojemu strzałowi do lisa, bo mu go napędzono następną salwą strzałów. Dobiegłszy do myśliwych, dowiedział się, że był jednak zapowiedziany pierwszy strzał do dzika. Podszedł więc do gospodarza i za lisa przepraszał, a za dzika serdecznie dziękował.

— Czyje pan dziś kolana oglądał? — pytali myśliwi — bo na jednem stanowisku lisa i dzika zabić, to nie często się zdarza!

— To zostanie moją tajemnicą — odpowiedział z uśmiechem zadowolenia pan Piotr.

Rozstawiono się znowu.

Pani Ida znała dobrze regulamin myśliwski, stała więc nieruchomo na linji, jakby wlepiona w ścianę leśną. Ręce zanurzyła w kieszeniach futerka, a dubeltówkę trzymała pod pachą. Acz nie bardzo wprawna w strzelaniu, dawała się jednak brać gorączce myśliwskiej i skoro posłyszała zdala głos trąbki, a tuż za nim przeciągły krzyk nagonki, drgnęła i sprężyła się cała w oczekiwaniu.

Bocznym wzrokiem przeszukuje krzaki wkoło, słuch natęża. Cisza. Pac, miękki śnieg zesunął się z gałązki obok. Obejrzała się szybko, pulsa zabiły mocno. Nic. Cisza dalej, Czu, czu, czu, coś zdaleka idzie, zbliża się, to już zwierzyna napewno. Poprawia chwyt strzelby, unosi ją do połowy. Zając zdala miga między krzakami, idzie na sztych, kucnął za drzewem. Znikł z oczu, niema go. Pani Ida przykłada strzelbę do ramienia.

— Skoro tylko wysunie się z za drzewa — strzelam.

Czeka z bijącem sercem, zając ukazał się, poskoczył trzy razy, przysiadł znowu, unosząc przednie łapki do góry. Pęc! gruchnęło w niego teraz pełnym nabojem. Przewalił się do śniegu.

— Jest! — ucieszyła się pani Ida. — Ale strzeliłam do siedzącego, niebardzo to po myśliwsku — zafrasowała się trochę. — Et, nie przyznam się, nikt nie widział, a zając jest, to grunt. Szybko wsadziła nowy nabój do lufy

i stanęła w pogotowiu. Wyskoczył drugi zając, strzeliła doń już w pełnym biegu. Była bardzo dumna.

Następny miot był beznadziejnym gąszczem. Poprostu parawan ze świerków, z przodu i z tyłu. Jak tu strzelać? Zające, jakby się uwzięły na starostę, prażył do nich gęsto, ale przeważnie za krótko strzelał, więc rade zmykały zdrowo w krzaki. Tu popisywał się książe, który wiele po świecie, zwłaszcza na drobną zwierzynę polując, dawał sobie radę i w trudnych warunkach. Na flance stali przy sobie dwaj panowie Kostrzyccy, wzrokiem w miot wparci, by dojrzeć coś przez siatkę gałęzi. Postępowali przed nagonką ostrożnie i czujnie. Obydwaj mieli już zabitych po 8 zajęcy. Ojciec szedł przed nagonką, syn bliżej linji strzałów, obydwaj strzelali kulami, obydwaj rzadko chybiali. Pędzi zając i wyskoczył na prawo, na łąkę. Pan Tdeusz strzela, 4 kozły dały dowód celnego strzału. Jeszcze echo nie przebrzmiało, a już druga kopyra atakuje ojca od strony nagonki. Suchy strzał i zając tylko się posunął.

— Dywy sia, jak strylaje, aż pery piszło — mruknął zdumiony chłop w nagonce. Suną dalej Kostrzyccy, myśląc, kto kogo przestrzela. Wtem zając między nimi wyjeżdża, syn już się złożył, lecz ojciec huknął: — Nie strzelaj, bo cię, bo wiesz...

— Wydziedziczę — dokończył ironicznie półgłosem pan Tadeusz i sztuciec opuścił, a zając rozleciał się, trafiony kulą ojca.

Antoś Przybyłowski, który cały dzień strzelał gorączkowo, teraz poprawił jednego zająca po staroście, zrobił dwa piękne dublety i pocieszył się dość pięknym rozkładem.

— Jak się też pani powiodło dzisiejsze polowanie? — pytał książę panią Idę wracając do domu. — Przyznać trzeba, że śliczna tu knieja. Gdyby trochę celniej strzelano, toby wyżej setki było na rozkładzie.

— Zabiłam trzy zające, o pudłach wolę nie mówić.

— Ależ to bardzo ładny rezultat. Djana nasza nie od

parady nosi łuk i kołczan dwudziestego wieku — mówił książe, wskazując na leżącą obok, na derce, dubeltówkę.

— Niech książe nie pochlebia mi zbytnio, bo jak na Djanę, to jednak słabe są trofea. Pnowie nastrzelali tyle, że mi wstyd o sobie i wspominać.

— Wcale nie jest pani ostatnią. Starosta uśmiercił tylko jednego i to podobno, powiem pani na ucho, dobił go kolbą.

— Nie może być!

— Widziano go, gdy mocował się z tym szarakiem.

— To musiało być arcyzabawne — i pani Ida wybuchnęła szczerym śmiechem.

— Ne riez pas, madame, to figura rządowa! — powiedział książe z surowym wyrazem twarzy, ukrywając uśmiech pod wąsem.

— On dziś nie jest urzędową figurą! Mówił mi sam, że z radością zmienił mundur biurowy na myśliwską kurtkę. Jest naszym towarzyszem w kniei i na równi z innymi chce być traktowany, wobec tego można sobie z niego i z nim pożartować swobodnie. Zresztą nie bierze swego polowania zbyt poważnie, chce się tylko rozerwać.

— Więc pozwala pani śmiać się?...

Małym truchcikiem, raźnie prychając, biegły konie ku domowi.

Obiad po polowaniu.

Jarzyły się światła lamp elektrycznych w stołowym pokoju. Załamywały się ich promienie w szkłach i srebrach sutej zastawy. Niepokalaną, długą biel obrusa ożywiały plamy jasno liljowych prymul, umiejętnie rozrzuconych wzdłuż nakryć i zebranych w piękne wiązanki na środku stołu. Czarne smokingi, białe gorsy koszul, czarne przeważnie, lśniące suknie kobiet, odkryte ich ramiona i szy-

je — tworzyły jaskrawą, żywą szachownicę ponad stołem biesiadnym. A wszystko tętniało życiem, poruszało się w gwarze i brzęku nieustannym naczynia.

W środku królowała piękna, rasowa główka pani Idy, w djademie jasnych włosów na smukłej, olśniewająco białej szyji. Promieniała zadowoleniem, uśmiech uprzejmy, lecz zarazem tryumfalny, rozchylał jej usta. Bo też i mogła cieszyć się z udanego przyjęcia. Polowanie wypadło wspaniale: dzik, cztery lisy, 95 zajęcy i t. d. Zresztą, to już sprawa i chluba Kazia, ale wszyscy goście zjawili się na jej wezwanie, nikogo nie zabrakło, nawet księżniczki obie, choć powątpiewała trochę w ich przyjazd, stanęły punktualnie w Wiszence o godzinie szóstej. Żadna z pań nie spóźniła się, co rzadko się zdarzało. Świeża, smagła uroda i trochę zuchwały błysk piwnych oczu praktykantki z Iwanówki robiły duże wrażenie, a dyplomata roztaczał wokoło niebywały czar towarzyskiej ogłady, wesołości i dowcipu. Jednał sobie wszystkich, słuchano go, otaczano. Udało się zatem pani Idzie w to codzienne kółko znudzonych już sobą trochę sąsiadów kamienobrodzkich wprowadzić dwie nowe, interesujące postacie. Tylko jeden starosta wymówił się od obiadu pilnemi sprawami, które miał jeszcze, mimo późnej pory, dnia tego załatwić i odjechał autem z inspektorem Malickim. Ale nie zmartwiło to bynajmniej pani Idy, gdyż ułatwiło jej znakomicie umieszczenie koło siebie pana Szczerbańskiego. W przeciwnym razie musiałaby to lewe miejsce zatrzymać dla starosty, a chciała przecież skorzystać trochę z towarzyskich zalet swego zamorskiego gościa. Wymknęła się więc przed samym obiadem do jadalni i odpowiednio zamieniła karteczki. Z prawej jej strony książe, w powiecie najwyższy stanowiskiem obywatelskiem, gość najdostojniejszy w tem gronie, wytworny, wykształcony, przesiąknięty cały kulturą zachodu, niepospolity rozmówca. Tak więc pani Ida, w dwa ognie wzięta, wzywała na pomoc cały swój dowcip i oczytanie, by dotrzymać pola tym dwum partnerom. Na obie strony ciskała rakiety swoich

błyskotliwych, inteligentnych odpowiedzi, wysyłała uśmiechy, strzelała promieniami wzroku.

Naprzeciw pan Kazimierz, który czuł się o wiele mniej swobodnym przy biesiadnym stole, jak w knieji, skrępowany kołnierzem i niewygodnym gorsem koszuli, robił co mógł, by pokonać senność, która go, jak na złość, opadła i starał się podtrzymywać rozmowę z obiema swemi sąsiadkami: hrabiną Gaszyńcową i panią Kostrzycką. Ale szło mu to ciężko i nieskładnie. Pani Kostrzycka wylewała przed nim nieskończony łańcuch swoich cierpień i żalów. Słuchał jej przez czas długi w skupieniu, ale gdy jeszcze, jakby umyślnie, opóźniano się z podaniem półmiska, uświadomił sobie w pewnej chwili, że jeśli teraz czegoś nie powie, to zaśnie niechybnie na oczach wszystkich gości. Wypalił więc nagle bez żadnego związku:

— Ale ten zając, którego Wicek dzisiaj zabił! Czy Pani o tem słyszała? To było coś nadzwyczajnego.

Pani Kostrzycka, przerażona, urwała w pół zdania, kilka osób oglądnęło się, ale już z naprzeciw pan Piotr chwytał wątek rozmowy i ze śmiechem opowiadał dzisiejsze przygody myśliwskie. Zaczęto go słuchać wokoło, a pan Kazimierz wyprostował się, poprawił nieznośny kołnierz i poczuwszy znajomy grunt pod nogami, dokładał swoje spostrzeżenia, rozbudził się i ożywił. Sytuacja była uratowana.

— Ale kto jest właściwie dziś królem polowania? — pytała hrabina Gaszyńcowa.

— Oczywiście ten, kto zabił dzika, lisa i ośm zajęcy — mówił pan Kazimierz. — Gość, którego nam mąż pani przywiózł łaskawie i który wstępnym bojem zdobył odrazu berło królewskie i całe nasze uznanie dla swojej sztuki myśliwskiej.

— Ho, dyplomaci strzelają dobrze, choć czasem z ukrycia — dorzucił książę.

— Widocznie nie zapomniał pan na bruku paryskim wiadomości, wywiezionych z puszcz litewskich i z nad błot

pińskich — powiedziała uprzejmie hrabina, a mąż zaraz podtrzymał:

— Cieszę się, że przyjaciel mój tak ładnie się państwu przedstawił. Mogę się więc i w kniei tym gościem poszczycić.

— Nie myślcie państwo, że obijając się wśród paryskich murów, nie pozwalam sobie czasem na mały z nich wypad myśliwski. Trudno mi więc zapomnąć kunsztu myśliwskiego. Ostatnio, w jesieni, polowałem w Normandji na ptactwo wodne u mego przyjaciela. Spędziliśmy tam cudowne dwa tygodnie.

— Niechże nam pan opowie coś o tem — prosiła pani Ida. — To musiało być uroczo. Nad morzem, nieprawda?

— Oczywiście nad morzem. Są to łowy jedyne w swoim rodzaju. W czasie odpływu idzie się daleko wgłąb i obiera sobie miejsce wynioślejsze lub skałę. Gdy woda wraca, niosąc na grzbietach swych fal tysiące ptactwa, myśliwy sterczy, jak pionek, sam na wysepce i wówczas ma wkrąg pole do strzału. Często gęsto podchodzi mu woda do kolan lub nawet do pasa, ale strzelać może dowoli. Wciąż nowe ptaki przynosi mu fala. Wspaniale kołyszą się wokoło. Po strzale oczywiście wzlatują w górę, lecz wkrótce przypływają nowe. Bardzo to jest zabawne, bo można ustrzelić paręset ptaków na jednym postoju, tylko wkrótce robi się zimno i myśliwy radby wrócić do domu, a tymczasem cierpliwie czekać musi odpływu.

— Jednem słowem, myśliwy zmienia się w trytona wodnego — wtrąciła pani Ida — tylko zamiast syren łowi skrzydlate mewy.

— Tak, niestety, tylko ptaki. Przyznaję, że wolałbym być prawdziwym trytonem i myślałem nieraz o syrenach. Ale, malgré tout ce qu‘ on en parle, nie lubią one zimnej wody, nigdy ich tam nie spotkałem.

— A ja sądzę, że one ukryte są głębiej, tylko myśliwy - tryton nie potrafił wywabić ich na brzeg, dla nich niebezpieczny.

— Vous pensez?...

— A któż najwięcej zajęcy ustrzelił? — pytała pani Kostrzycka. — Mój mąż, czy mój syn? — Była przyzwyczajona, że zawsze jeden z nich był pierwszym na polowaniu.

— Tym razem pan Rura odniósł rekord. Strzelec to nad strzelcami: 21 zajęcy, to śliczny wynik! Wprost nie chybia.

Pan Rura na końcu stołu posłyszał tę pochwałę, zwłaszcza, że ją pan Kazimierz umyślnie głośno powiedział, patrząc w jego stronę. Uśmiechnął się skromnie pod wąsem i spuścił oczy.

— W lesie jestem wychowany, ze strzelbą w ręce — powiedział wymijająco do panny Lili Kostrzyckiej, która dziwiła się głośno.

— Tak? Nie spodziewałam się — powiedziała kwaśno pani Kostrzycka. — Zwykle wszędzie mój mąż bywa pierwszy.

— Owszem, jestem na drugiem miejscu — wołał pan Wincenty przez stół — mam 15 zajęcy i to część kulami, proszę zauważyć, a że nie chciało na mnie wyjść więcej szaraków, temu nie poradzę. Strzelałem wszystkie, możecie mi wierzyć — mówił rozkładając ręce i unosząc ramiona.

— Więc ostatecznie znowu ojciec przestrzelał syna — wtrącił pan Przybyłowski.

— Co, co? Kto? Kto ma więcej zajęcy? Tadzik? Wicek? — posypały się zewsząd głosy. Cały stół zainteresował się tą nigdy nieustającą rywalizacją, która na każdem polowaniu ponawiała się i zawsze była powodem żywej dyskusji, a czasem nawet i zakładów między bracią myśliwską.

— Ojciec, ojciec! Wicek ma 15 zajęcy, a Tadzio 14 — obwieszczał uroczyście gospodarz.

— Brawo Wicek, brawo! Trzymaj się stary, nie daj się młodszemu — wołano dokoła z zadowoleniem, gdyż ogólnie bardziej lubiano ojca.

— Phi! Nie bójcie się, nie dam się!

— O jednego tylko zająca przestrzelił mnie, którego mu odstąpiłem — mruknął półgłosem pan Tadeusz do swej sąsiadki Juli. — Gdybym mu go sprzątnął, nie darowałby mi. Tyle byłoby krzyku, a ja tego nie lubię. — Wcisnął głowę w ramiona i skrzywił usta w uśmiechu, co miało oznaczać: Mogłem z łatwością mieć więcej zajęcy, ale ustąpiłem.

Rozmowa, wypieniwszy się ponad stołem, jak rzeka w ogólnym nurcie, rozbiła się teraz na pomniejsze strumyki. Sąsiedzi, podobierani starannie przez panią domu, rozmawiali teraz ze sobą. Mocne, oderwane głosy przycichły i rozlały się w ogólnym gwarze przytłumionych rozmów.

Hrabia Gaszyniec, któremu przypadło w udziale miejsce obok pani Przybyłowskiej, z czego rad był bardzo, bo zawsze czuł do niej żywą sympatję, pytał:

— Co słychać z naszą polską szkółką w Wojciechówce?

Łączyły ich zawsze sprawy społeczne. Hrabia był hojny, a pani Alina umiała robić doskonały użytek z jego darów. Pracowali razem skutecznie nad utrzymaniem polskiego żywiołu w najbliższym swoim okręgu.

— Już mamy nauczycielkę — mówiła pani Alina — w tych dniach zacznie się nauka. Dzieci są uszczęśliwione, tylko brak nam opału. Dzieci są biedne, nie mają książek.

— Postaramy się temu zaradzić, droga pani. Ale czy wolno mi będzie kiedyś tę szkółkę odwiedzić?

— Oczywiście! Ułożymy się, pojedziemy razem do Wojciechówki. Zobaczy pan, jak miłe są te dzieciaki i jak się do nauki garną!

Panna Lila Kostrzycka rozmawiała z panem Karolem Przybyłowskim. I ona była zadowolona z tego sąsiedztwa, bo go pytała o rady w rozmaitych sprawach ekonomicznych, na których nie znała się jeszcze dokładnie. Ona to teraz głównie prowadziła interesa białokonieckie, wyręcza-

jąc ojca i brata, którzy spędzali czas głównie na polowaniach.

Pan Tadeusz Kostrzycki siedział między Julą a starszą księżniczką. Jula zaciekawiła go bardzo, zostawiwszy więc całkowicie księżniczkę Mabel staraniom sąsiada na lewo, sam zajął się wyłącznie sąsiadką na prawo. Ona jedna jedyna wśród obecnych pań nie miała na sobie sukni czarnej. Naogół ziemianki ze względów praktycznych sprawiają sobie zwykle strojniejsze suknie w kolorze czarnym, lecz Jula przybywała z Krakowa, nie stosowała się do mody zaścianków i miała na sobie zwracającą uwagę suknię ciemno-wiśniową, aksamitną, opinającą znakomicie jej zgrabne, gibkie kształty i harmonizującą doskonale ze smagłą, opaloną cerą jej ramion i kasztanowatymi włosami. Szedł od niej mocny, jędrny zapach, jakby gwoździków. Pan Tadeusz rozwierał nozdrza.

— Czy pani, przyzwyczajona do miasta, naprawdę dobrze czuje się na wsi?

— Ależ oczywiście! Zresztą, całą najlepszą cząstkę mego dotychczasowego życia spędziłem na wsi i na wsi też, u stryja mego, będę gospodarować. Przepadam za wsią.

— Ja zaś sądzę, że poza polowaniem, wieś nie może nam dostarczyć żadnej przyjemności.

— Nie rozumiem, poco żądać od życia wiejskiego samych p r z y j e m n o ś c i? Nie daje ich może w większej mierze, jak inne, ale przynosi zadowolenie.

— Zadowolenie? — wydął wzgardliwie wargi pan Tadeusz. — O jakiemże zadowoleniu pani mówi?

— O pracy.

— Phi, praca... to już największa nuda!

— Jak dla kogo. Osobiście uważam, że żadna inna praca nie daje takiego zadowolenia, jak praca na różnostronnym i żywym warsztacie gospodarstwa rolnego.

— A pani pracuje?

— Oczywiście. Trochę dziwne pytanie! Jestem prze-

cież praktykantką i to w domu, gdzie panuje wprost kult pracy. Gdybym nie dostroiła się do ogólnego tonu, który tam panuje, uważałabym siebie za pasorzyta i przepędzonoby mnie wkrótce.

— To może mnie pani uważać za pasorzyta, bo ja nie znoszę pracy, uważam ją za przekleństwo ludzkości.

— Ba, ba — zaśmiała się wesoło Jula — niech się pan tak lekkomyślnie nie przedstawia, bo pasorzyt to naprawdę brzydkie stworzenie. Zacznę od pana uciekać.

— Niechże pani nie ucieka, na miłość boską, nie jestem przecież tak straszny, chociaż nie cierpię pracy.

— To pan nie gospodaruje?

— Nie, nigdy nie pokalałem się tak niskiem zajęciem. Gospodarował dotychczas mój ojciec, który, jak pani widzi, jest jeszcze młody i bardzo do życia ochoczy, a teraz wydzierżawiliśmy wszystko.

— A cóż pan robi na wsi?

— Co?... No tak... — stropił się, bo niebardzo wiedział, co powiedzieć. — Prowadzę interesa, a w międzyczasie poluję. Ale gdy tylko poprawi się ta przeklęta konjunktura gospodarcza, zwieję szybko z kraju, jak się da.

— I dokąd to, jeśli można spytać? — Bezwiednie zaczęła przybierać ton lekkiego szyderstwa, patrząc na niego przez ramię.

— Dokądkolwiek. Może znowu z Granowskim uda mi się pojechać na polowanie do Afryki.

— Tak, to już pan takie egzotyczne odbywał polowania?

— No, nic wielkiego — wzgardliwie ruszył ramionami. — Byłem dotychczas tylko dwa razy poza granicami Europy. Może mi się to uda jednak jeszcze parę razy w życiu. Bo właściwie, proszę pani, to siedzenie tutaj, w kraju, a już na takim zaścianku, jak powiat kmienobrodzki, to prawdziwa niewola!

Julę zniecierpliwił ton ton blagi i znudzenia, ruszyła ramionami i odpaliła:

— Jeśli panu niewola we własnym, wolnym kraju, to... sądzę, że nikt pana tu zatrzymywać nie będzie. — Odwróciła się do pana Milczkowskiego i zaczęła z nim rozmowę o gospodarstwie i koniach. Pan Jerzy był także z tych, którzy wolą w butach brodzić po zagnojonem podwórzu, niż bawić panny w salonie. Ale jego silna postać, o kwadratowych barach, tchnąca trochę oborą mimo smokingu i starannej czystości, wzbudzała sympatję swoją szczerością. Grube, spracowane ręce na białym obrusie wywoływały uczucie szacunku, a dobre, proste wejrzenie czarnych oczu pociągało. Zatem rozmowa o tematach, które mu bliskie były, szła dobrze i zadowoleni byli z siebie.

Pan Tadeusz, urażony i zły, zwrócił się do księżniczki Mabel i, o dziwo, znalazł tam o wiele większe zrozumienie. Jeździli sobie po Europie całej i wyrzekali zgodnie na swoją ojczyznę. A wśród tych djalogów na prawo i lewo płynęła uczta swoim biegiem, służba krzątała się, półmiski wsuwały się między głowy i rozdzielały na chwilę rozmawiających. Potrawy były gospodarskie, niezbyt wyszukane, a to nie dlatego, żeby pani Ida, albo jej kucharz, nie potrafili wystąpić z bardziej wytwornym obiadem, ale nie były czasy ku temu i przesada w tym kierunku mogła wywołać najgorsze wrażenie. Było więc tylko to, co Wiszenka sama dostarczyć mogła: barszcz szary z pasztecikami, karpie w galarecie, polędwice garnirowane, indyki z kompotem i sałatą, w końcu kremy waniljowe. Wino podawano tylko lekkie, francuskie, ale było go dosyć. Toastu nie wnoszono żadnego, gdyż nie było to zwyczajem w Wiszence. Obiad przepłynął doskonale i goście ruszyli do innych pokoi. Panowie przeszli na cygara i czarną kawę do gabinetu gospodarza, a panie zostały w salonie.

W gabinecie rozmowa, gdy wyczerpały się tematy myśliwskie, przeszła na politykę i sprawy ekonomiczne. Teraz otaczano hrabiego Gaszyńca, który wrócił niedawno z Warszawy i opowiadał o rozmaitych prądach politycznych i planach rządu. Słuchano go chciwie, oczekiwano

z natężeniem, czy z ust jego nie padną jakieś radośniejsze wieści, zapowiadające zwrot ku lepszemu, podniesienie cen zboża, ulżenie ciężarów społecznych. Lecz daremnie, nic konkretnego, nic prawdziwie pocieszającego nie przywoził hrabia ze sobą. Kiwano głowami z apatją i zniechęceniem.

— Jednem słowem, nie mamy się niczego spodziewać — żachnął się ostro pan Kazimierz. — Ubezpieczenia cisną, podatki cisną, wymuszane najsroższymi rygorami. Płać i płać, a nikt się nie pyta, czy masz skąd płacić!

— Dobry gospodarz dba o krowy, które mu mleko dają — zaczął powoli jeden z panów z sąsiedniego powiatu, ormjanin z pochodzenia, o okrągłej twarzy i przyrośniętym do niej filuternie uśmiechem. — Daję im dość karmy, każę czyścić i utrzymuję w pięknym stanie, aby mi się dobrze doiły. Rząd z podatkami postępuje przeciwnie, zapomina, że krowy bez paszy i opieki doić się przestają, zasuszają i nikt z nich nic nie wyciągnie!

Salwa jowjalnego śmiechu wybuchła wśród zebranych ziemian.

— Tak, tak, zasusza nas, jak krowy przed ocieleniem.

— Tylko, że to cielę nigdy się nie urodzi — dodał rubasznie pan Milczkowski.

— Prędzej krowa zdechnie — mruknął ktoś z boku.

— Na podstawie rachunku — odezwał się rzeczowo pan Przybyłowski — mogę stwierdzić, że gospodarstwo w ubiegłym roku opłacało się jeszcze, obeszłoby się bez deficytu, ale trzeba wykluczyć utrzymanie właściciela i jego rodziny. Sam fakt, że właściciel żyje i potrzebuje czegoś dla siebie i rodziny, już przynosi stratę.

— Patrzcie, patrzcie — wołano z kilku stron — i to przy takiej oszczędnej administracji, przy takiem skromnem życiu. Nie trzymasz rządcy, nieprawda?

— Ani nawet ekonoma. Moją główną pozycją w rozchodzie domowym to wychowanie dzieci.

— Tak, tak, pięcioro dzieci — z politowaniem ktoś pokręcił głową.

— A od czegóż to nam podatek dochodowy wymierzają? — irytował się pan Kazimierz. — Życzyłbym sobie mieć tyle dochodu, od jakiego podatek płacić mi każą.

— A czy wiadomo panom o nowej ustawie, która ma wyjść w najbliższym czasie, a która już wprost zagraża naszemu bytowi? — zawołał nagle pan Wincenty Kostrzycki, uderzając pięścią w poręcz fotela tak mocno, że wszyscy zwrócili się w jego stronę. — O zabieraniu przymusowem ziemi na zaległe podatki?

— Ładna historja, ładna historja! — wołano zewsząd. — I w jakiej to cenie będzie liczone?

— No, oczywiście najniższej. Co o tem powie nasz prezes? Czy słyszałeś o tem w Warszawie, Michale?

Wszyscy wyczekująco patrzyli na hrabiego.

— Owszem, jest projekt takiej piatiletki przejmowania ziemi na rzecz państwa, aby na niej osadzać małorolnych i kolonizować obszary ludnością bezrobotną.

Nastąpiło silne poruszenie, głosy się zlewały, kotłowało się jak w ulu.

— No, to już koniec z nami! — zawołał porywczo pan Ładoś. — Zdaje się, że moja żona ma słuszność, kiedy mówi, że nie warto zapracowywać się i oszczędzać, bo i tak dzieciom nic nie przekażemy. Rąb wszystko, sprzedawaj wszystko, póki masz i „wtikaj Fediu poza chrest!“.

— Jakby kto wierzył, że pan tak zrobi — mówił pojednawczo z pobłażliwym uśmiechem hrabia Gaszyniec. — Co innego mówić, a co innego robić. Niech się panowie zresztą tak tem nie przejmują. Żyjemy w państwie nawskroś prawomyślnem, nie zabiorą nam ziemi bez odszkodowania, a jeśli kto nie ma zaległości podatkowych, to może wogóle niczego się nie obawiać.

— Ha, kto ich niema! — posypały się znowu głosy.

— Albo ten monopol spirytusowy! — odezwał się książę. — Czy to wszyscy panowie przechodzicie takie same szykany? Te ciągłe zmiany przepisów, tłumaczone

przez przedstawicieli straży, czytaj trybululków, w miarę ich swoistej inteligencji. To są niesłychane rzeczy!

— Ależ proszę księcia — zawołał pan Kazimierz — wszyscy przechodzimy to samo. Gorsza jest jeszcze sprawa ubytków. Dalibóg, nie wziąłem nigdy pół litra wódki z magazynu do domu, strzegę go, jak oka w głowie, obwarowany, jak twierdza, a co roku za ubytki spirytusowe płacę ogromne kary. Jeśli nie odbierają spirytusu i każą mi go trzymać pół roku, to paruje i tracę. Raz zapłaciłem za ubytek spirytusu, który wylał się w wagonie z powodu przedziurawienia beczki przy szybowaniu pociągu. Kosztowało mnie to trzy tysięce złotych. Wszelkie rekursy nie pomogły. — Pan Kazimierze prychał ze złością na wspomnienie o tem.

— Ja też cieszę się, że gorzelni nie odbudowałem — powiedział pan Przybyłowski. — Wolę z tem wszystkiem nie mieć nic do czynienia.

— Na wołowej skórze nie spisałby tych udręk, tych szykan, tych biurokratycznych przepisów monopolowych...

I tak sypały się jedne za drugiemi skargi i narzekania, w gruncie rzeczy bezcelowe i bezowocne, gdy nagle z pośród nich wypłynął spokojny, ironiczny głos księcia:

— Och, z jaką chęcią byłbym tęsknił do tej Polski jeszcze długie lata! Codziennie teraz, gdy się budzę, myślę sobie: Jakież to nowe męczarnie wymyśliła na nas wytęskniona ojczyzna?

— Darujcie panowie, sądzę, żeście się zbyt daleko zapędzili i mam nadzieję, że nikt z obecnych tu panów nie poprze ciebie Stasiu, — rzekł hr. Gaszyniec, zwracając się do księcia. — Wierzę, że masz dużo przykrości, ale zauważ, że przy dzisiejszych prądach demokratycznych i etatystycznych w całej Europie nigdzie chyba nie byłoby ci lepiej. Co zaś do stosunków ekonomicznych, to większość obywateli ponosi obecnie ciężkie ofiary. Należymy do tej większości, trzeba się z tym faktem pogodzić, nie możemy wy-

magać specjalnych przywilejów, bośmy może na nie i nie zasłużyli...

— Tak, tak, za wiele miała szlachta przywilejów w minionych wiekach i zanadto ich nadużywała, a teraz sprawiedliwość dziejowa bierze na nas odwet — gorżko odpowiedział pan Przybyłowski. Książę uniósł się w fotelu i chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz już wchodziła pani Ida, prosząc, aby panowie byli łaskawi wrócić do salonu, a zwłaszcza młodsi, gdyż panny mają ochotę zatańczyć.

Kilku panów zasiadło do brydża, a inni przeszli do salonu. Pani Alina siadła do fortepianu i uderzyła w tony walca. Pan Wincenty przesunął ręką po czuprynie, obciągnął kamizelkę i żwawo podszedł do Juli.

— Jestem pewien, że pani świetnie tańczy! Niech panią nie zraża moja siwizna, będzie pani miała ze mnie niezłego dansera, bo wprawy nie straciłem. Ciągle jeszcze lubię wywijać!

— To przyjemnie mieć tyle sposobności do tańca.

— O sposobność nie trudno — mówił pan Wincenty, obejmując ją wpół — w Bagateli, czy w Cyganerji, ile razy jestem we Lwowie, spędzam nieomal każdy wieczór. Znają mnie też tam wszyscy. Gdy się ukażę na sali, muzyka gra tylko dla mnie. Chodzę czasem z pewną aktorką, wie pani, śliczna kobieta...

Jula nie słuchała, tańczył, mimo obietnic, źle, nudził ją tak, że tylko z grzeczności nie przerywała tańca. Zakręciły się i inne pary. Pan Piotr, przetańczywszy kilka okrążeń z panią domu, tańczył z Lilą Kostrzycką. Księżniczka Mabel podeszła do siostry swojej Leny i pochyliła się do jej ucha.

— Je t‘ avais bien dit, que ce sera une corvé, on s‘ennuira à mourir. Allons nous en! — i dosyć niezręcznie ukryła ziewnięcie.

— Mais au contraire — odpowiedziała Lena — wcale się nie nudzę, bawi mnie pan Rożęcki i idę z nim właśnie

tańczyć. — I zostawiając znudzoną siostrę, odpłynęła w objęciach młodego, dziarskiego chłopca.

Antoś plątał się bezczynnie po salonie. Czuł się nieswojo. Cały ten tłum gości onieśmielał go, nie umiał tańczyć, nie umiał interesująco rozmawiać. O czemby zresztą mówił? Czuł się nieukiem, zwłaszcza wobec Juli. Nie mógł oderwać od niej oczu. Gdy przewijała się przed nim w tańcu, smukła i gibka, wydawała mu się nad wyraz piękna, lecz niedostępna. Ona to onieśmielała go najbardziej, był wszak tylko prostakiem wobec jej wykształcenia, zdolności i wyrobienia życiowego. Podziwiał jej pewność siebie, ciętość odpowiedzi i wyższość umysłową. Ze smutkiem patrzał w przepaść, która, jak mu się zdawało, dzieliła go od niej i której przekroczyć nie czuł się na siłach. Bolało go, gdy tańczyła w objęciach innych, swobodna i wesoła i że sam, nie umiejąc tańczyć, prosić jej nie mógł. W podnieceniu palił jednego papierosa po drugim, zaciskał zęby, a w umyśle zaczynało mu kiełkować postanowienie wyjazdu z domu i oderwanie się od osoby, która przygwoździła do siebie jego myśli, pragnienia i burzyła mu całkowicie spokój, bez żadnej nadziei.

Bezwiednie oparł się o fortepian, przy którym siedziała matka. Pani Alina, nie przerywając gry, podniosła na niego oczy.

— Co ci, Antosiu?

— Nic.

— Szkoda, że nie tańczysz, trzeba się nauczyć. Panna Jula nauczy cię w Iwanówce.

Żachnął się, zły.

— Daj pokój mamo, nie będę się uczył tego głupiego fikania — i odszedł, a pani Aliny palce dalej biegały po fortepianie i płynęła z pod nich stara melodja walca straussowskiego „An den schönen, blauen Donau“. Przed oczyma jej wynurzyła się z cienia dalekiej przeszłości pucołowata twarz Lola na lekcji tańca. Przy tej melodji oświadczył się jej ongiś.

Na kanapie, pod palmą, pani Kostrzycka skarżyła się hrabinie Gaszyńcowej:

— Nie uwierzysz Marysiu, jak mnie od dwóch dni głowa boli, czuję się taka chora i zmęczona temi nieszczęściami, które się na nas walą, że chciałabym chyba umrzeć.

— Jednak przyjechałaś...

— No, tak, dla Lili to zrobiłam. Biedna dziewczyna, nikogo nie widuje, a sama nie pojechałaby za żadne skarby. Czegóż matka dla dziecka nie zrobi!.. Ta Lila, to cała moja pociecha, nie uwierzysz...

Pani Ida rozmawiała w bardzo ożywiony sposób z panem Piotrem. Była już pewna, że zrobiła korzystne wrażenie. Grała tedy na pełnych strunach. Mówiła, błyszczała, śmiała się i wabiła. Nie miała jednak żadnych planów tajemnych. Lubiła tylko tę atmosferę podniecenia salonowego, gdzie wywołuje się wiele rzeczy, a potem zostawia się je niedokończone, gdzie rzuca się słówka i domyślniki na wiatr, żongluje niedomówieniami, zlekka wabi, a potem daje małego klapsa. W gruncie rzeczy była osobą uczciwą i wzrosłą w domu o dobrych zasadach, nie byłaby więc nigdy myślała o wyciągnięciu konsekwencji z takiej salonowej zabawy. Uprawiała ją zatem z całym spokojem sumienia, jak czyniła to zawsze, nie zważając, że partner obecny miał szeroką sławę uwodziciela i że gra, którą tak lekkomyślnie zaczęła, może być dla niej samej niebezpieczną. Spojrzała na zegarek; była godzina dziesiąta i należało podać herbatę, zerwała się tedy i zostawiwszy pana Piotra, pobiegła przez długi korytarz do pokoju służbowego, gdzie na podręcznej kuchence smażono pączki. Chciała się przekonać, czy się udały. Skosztowała. Oczywiście były bez zarzutu. Wydała Aleksandrowi odpowiednie rozporządzenie i szła do stołowego, aby obejrzeć zastawę do herbaty. W wąskiem, mrocznem przejściu, łączącem główny korytarz ze stołowym pokojem, poczuła nagle jakieś ciepło i czyjąś obecność. W tej samej chwili namiętny szept wpłynął jej wprost do ucha:

— Que vous êtes belle, que vous êtes intéressante!

I gorące wargi musnęły jej kark, a ręka jakaś chwyciła mocno jej dłoń w przegubie. Natychmiast poznała pana Piotra i zdumiała się.

— Mais vous êtes fou — wybełkotała, cofając się przerażona pod ścianę.

— Je ne suis pas fou, mais vous me plaisez infiniment. Voyons, laissez-moi vous embrasser! — Gorące wargi jego zaczęły błądzić po jej szyi i ramionach. Wyrwała się.

— Vous êtes fou, complêtement fou — powtarzała bezwiednie, uciekając przez stołowy do swego pokoju. Tu zaświeciła elektrykę i obejrzała się uważnie w zwierciadle. Paliły ją pocałunki, była naprawdę trochę przerażona, ale uśmiechała się, patrząc na swoje odbicie. — Podobałam się jednak! — Odetchnęła głęboko parę razy, uspokoiła rozigrane nerwy, upudrowała się nieco i wróciła do gości, unikając już pana Piotra.

(d. c. n.).

Amelja Łączyńska.
